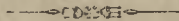


<http://rcin.org.pl>

CCM

SZALONA.



szkoleniowy IBL

SZALONA

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Il fare un libro è meno che niente.

Se il libro fatto non rifà la gente.

Giusti.

INSTITUT
AD NIEZAPAMIENANIE PAN Tom I.

ul. Nowy Świat Nr 72
00-800 Warszawa

Tel. 26-66-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.
Nakładem Księgarni
Teodora Paprockiego i Sp.
8. Chmielna 8.

1882.



Доволено Цензурою.

Варшава, 9 Сентября 1880 года.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23.

<http://rcin.org.pl>

1756

Było to w samą wigilię Bożego Narodzenia roku 18.... Śnieg sypał jak to on czasem umiē z zasepio- nego płowo nieba, powoli, spokojnie i polatując w po- wietrzu, gęsty, mięciuchny jak puszek, i układał się na ziemi, na gałęziach drzew, na krzewach i zeschniętych roślin łądygach, coraz wyraźniej zarysowując ich kształty na ciemnym jednostajnym obłoku, rozciągają- cym się nad całym widnokregiem.

Cisza była w powietrzu prawdziwie zimowa, której żaden znak życia nie przerywał, nawet wrony, które opieszale się przesuwały po nad wierzchołkami drzew, leciały nieme i smutne.

Godzina była zaledwie druga po południu, a już zdawało się, że zmierzch nadchodził, tak gęsta zasłona mroków wisiała nad zachodem.

Dwór w Zamiłowie, na Wołyniu w okolicy Cu- dnowa i Lubaru położony, nad skalistym brzegiem rzeki, wydawał się ze swym sadem i drzewami ota- czającymi, z budowlami do niego należącymi, jakby zimowa kartka z albumu wydarta... Stare tło niebios doskonale uwydatniało wszystkie pobielone szczegóły krajobrazu, jasno wychodzącego na niēm, które tylko

spadający śnieg jakby z na pół przezroczystej ukazywał zasłony.

Dwór stary z dachem wysokim, przy którym się ów niskim wydawał, ogromne topole i lipy, długie pokrycia szop, stodół i obór, nawet ogrodzenia i krzewy przy nich malował śnieg przylegając, czepiając się gałązek i ciężarem swym uginając je ku ziemi.

Z kominów dworu i kuchni podnosiły się do góry kłęby sinego dymu, którego barwa doskonale się zlewała z kolorytem niebios i całego krajobrazu.

W podwórzu, na gościńcu, w dali na drodze wiodącej do wsi, nawet około gospody w środku jęj stojącej, nigdzie widocznego życia nie było śladu; dym z kominów świadczył tylko, że się ludzie do chat pochowali i nie wymarli.

Od dwudziestu czterech godzin, prawie bez ustanku sypał ten śnieg spokojny, a zalepione niebo nic a nic się nie rozjaśniło. prorokowano większą jeszcze śnieżnicę, która szczęściem bez wiatru, równo spadała na ziemię, wróżąc doskonałą i trwałą sannę, bo ją poprzedziły mrozy, które grunt nawet błotnisty i oparzeliste moczary stężyły. Myśliwi cieszyli się zawczasu doskonałą ponową.

W wielkiej izbie dworu Zamiłowskiego, zmierzch się już zawczasu czuć dawał. Była ona obszerna, choć trochę niska i ze staroświecka niewytwornie przybrana w sprzęt wygodny. Wejrząwszy na nią, domyśleć się po niej było można ludzi spokojnego żywota, którym u siebie dobrze było, tak że tu nic zmienić nie potrzebowali i nie chcieli. Stół, krzesła, kanapy co najmniej wiek już jeden na bożym świecie przebyły, ale poszanowane trzymały się krzepko, i fizyognomia

ich nie razila tak jakby nowych a nieszykownych przybyszów. Na ścianach bez wielkiego rozmysłu tu i owdzie porozwieszane obrazy, niżej i wyżej, jak przyszła niegdyś fantazyja, miały już swe miejsce oznaczone pajęczynami i pyłem, które choć służba kiedy niekiedy obmiatała, wracały na dawne legowiska. Tak samo i wszystko co tu było zdawało się z wieków przyrosłe do miejsca i nieruchomo zadumane.

Obrazów parę wystawiała Chrystusa i Matkę Boską, inne były bardzo staremi wizerunkami ludzi dawnego kroju i stroju, nic a nic do dzisiejszych nie podobnych, tak już zczerniałemi, że z niektórych tylko części twarzy przeglądały, a płótna powydymane, popękane miejscami, popielatą warstwą pyłu przysłonięte, ledwie się w ramach trzymały.

Nie tykał ich nikt przez poszanowanie od czasu jak raz próba oczyszczenia przedsięwzięta z pomocą cebuli, jednemu z pradziadków zaszkodziła.

Po kątach dużej gościnniej izby było komódek z bronzami, stoliczków, różnych gracików dużo, a na każdym z nich pomniejszych szkatuleczek, zegarków, skrzynek, koszyków, porcelany pełno; bo w obycaju widać miejscowym być musiało co raz gdzie postawiono, zachowywać do zniszczenia. Niektóre z tych zabytków dosyć były postarzałe, inne pootłukane, inne zdawały się niekoniecznie potrzebne i wcale nie przyozdabiające, ale miały za stare zasługi prawo przytułku i chleba, a raczej pyłu łaskawy.

Jednostajne życie tego poczciwego dworu starego piętnowało się nawet na wygiętej, czystej, choć starej podłodze jego, na której rozeznac było można zwykłe, w różnych kierunkach wydeptane ścieżki,

nieto więcej wgłębione. Trzy okna przysłonięte firankami wychodziły ztąd na podwórze, jedno w głąb i ku ogrodowi. Wszystkie opatrzone były na zimę jak należy, podwójnemi szklami, mchem i piaskiem w środku.

Po salce téj przechadzał się z rękami w kieszeniach, z głową nieco do góry podniesioną, pięknego, wesołego dosyć oblicza mężczyzna niemłody, siwy, wąsaty, ubrany ze staroświecka, w butach do kolan i kapocie szarój z cienkiego sukna. Głowa to była jakby z jednego z tych starych portretów wyjęta, nie naszych czasów, lat dawnych, innego autoramentu.

Każdy wiek tworzy sobie fizygnomie właściwe. Niegdyś, mimo walk, niepokoju i twardych prób losu, wielki spokój ducha i męstwo piętnowały się majestatyczną na licu pogodą. Z tych wąsatych rycerskich twarzy starych wizerunków, których żywoty były jednym bojem i nieustanném męczeństwem, patrzy spokój taki, jakby się im śmiała szczęśliwość od urodzenia do zgonu. Nie widać w nich co cierpieli, bo znosić to umieli jako prawi bojownicy Chrystusowi i prawe dzieci ofiarnój ziemi.

Krzyże Pańskie błogosławiono, ramiona się nie uginały pod niemi, siła była wielka, płynąca z głębi. Na dzisiejszych twarzach wypieszczonych dzieci wieku widać konwulsje jego, chorobę, słabość, niecierpliwość. Twarze są potargane, niespokojne, wystraszone, gniewne, wyzywające, nieszczęśliwe. Widać z nich, że im mało tego co daje życie... żeby im nigdy dosyć nie było...

Stary pan, Chorąży niegdyś Latyczowski (bo w tamtych stronach mieszkał za młodu), Eliasz Do-

rohob, należał widocznie do ludzi przeszłości, a i z te-
raźniejszością się godził. Sześć dziesiątków lat na nim
wcale znać nie było, trzymał się prosto, wyglądał
zdrowo, czoło miał pogodne i niezmarszczone, a choć
Chorąstwo nosił tytularne, powiatowe i w wojsku po-
dobno nie służył, coś w nim jakby żołnierskiego było.

Obok przedrzwi jéjmość ze swym dworem
stół do wigilii przygotowywała, uścielano siano, usta-
wiano snop w kącie, ludzie się krzątali i chodzili,
a Chorąży sam pozostawszy, dumał niekiedy pochyla-
jąc się w oknie i spoglądając na gościniec oznaczony
kołkami i drzewkami, na którym nic widać nie było.
Spodziewał się nim pewnie gościa na wigilią, a choć
do pierwszej gwiazdy było daleko, zdał się już niespo-
kojnym trochę; zdradzał się coraz częstszém wygląda-
niem przez okna, w których z za gęstego śniegu
ledwie na kilka staj widać było coraz mniej wyraź-
nie drzewek wysmukłych pniaki.

W domu około trzeciój już dobrze zmierzchało..

Z drugiego pokoju w białym czepku jeszcze
rannym i ubraniu domowém, w fartuchu do góry
podgarniętym, z kluczami u boku, wysunęła się pani
chorążyna, zarumieniona ze zmęczenia, z oczyma błę-
szczącemi i twarzą tak jasną jak mężowska. Jéjmość
młodsza była znacznie od męża, dosyć jeszcze świe-
żą, niewielkiego wzrostu, okrągłuchną, a wesołe uspo-
sobienie śmiało się jéj na ustach i oczach. Niegdyś mu-
siała to być blondynka, bo miała jeszcze duże oczy
niebieskie, i włosy posiwiałe, gdzieniegdzie płowy od-
cień ozłacał. Wchodząc powoli jedną ręką w bok się
trzymała, jak gosposia rada z siebie i spokojna o to,
że uroczysta ucztą wieczorna wstydu jéj nie uczyni.

Spojrziała na męża, który się ku niej obrócił.

— Cóż jegomość tak sumujesz chodząc, odezwała się głosem śpiewnym, i miłym, w okienko spoglądasz...

Choraży zbliżył się i w czoło ją pocałował.

— Czyż to dziw Elżusi? albo to jójności serce nie bije do tego samego co mnie?

Rozśmiała się jójność i pokazała piękne jeszcze zęby białe, które ją młodszą czyniły na oko niż była.

— Tylko się niepokoić nie trzeba, nie trzeba niecierpliwić, rzekła. Ewaryst będzie w sam czas.

— Ale bo i księdza nie ma dotąd? odezwał się Choraży.

— Śnieg miecie okrutny, choć spokojny, dodała chorażyna, spoglądając ku oknu. Gdzie drogi wysadzane, tam łatwo sobie radę dać, ale na równinach, w stepie!

Pokręciła głową.

— Sanna się już usłała doskonała, mówił Choraży, koniom nie ma co ciągnąć, bo grudy wielkiej nawet nie było.

— A no do wieczora jeszcze daleko, przerwała jójność, przyjadą w porę. Choćby się też i poczekalo z opłatkiem!!

Choraży się uśmiechnął i pociągnął ku oknu, a jójność weszła żywo do jadalni, gdzie właśnie przy dozorze młodego ładnego dziewczęcia, wielki obrus, tylko na podobne uroczystości dobywany, starannie służący z panną rozciągali na sianie. Panienska tak samo jak chorażyna, po domowemu jeszcze była ubrana skromnie, ale jój i z tём dosyć było do twarzy. Nazwalismy ją ładną, inaczéj bowiem wdzięku

jój młodocianego, świeżego, określić trudno. Piękną się nazwać nie mogła, brzydką nie była, a miała w sobie to, co sympatycznie usposabia i pociąga, coś dobrego i miłego w twarzyczce okrągłej, rumianej, parą żywych oczek rozpromienionej, uśmiechniętymi usteczkami rozweseloniej, roztropnej i łagodnością serdeczną tchnącej. Figurka jój przystawała do twarzy i godziła się z nią (bo nie zawsze natura wszystkie części swojego dzieła dobiera harmonijnie), była tak zręczna, giętka, ładninchna jak panny Madzi świeży buziaczek, jeszcze dziecinnego wyrazu, a mimo niego poważny i już myślący.

Ustąpiła z zajętego miejsca dla chorążyniej, aby jój pokazać jak obrus leżał; spojrzwały na siebie zaspokojone. Zwieszało się go tyle ile było potrzeba, siana nie nakładł Pius za wiele, a tam gdzie się garby okazywały, panna Salomea naciskała je i wygładzała ręką, Pius z pod spodu wyciągał. Wszyscy przy tej czynności mieli oblicza tak zamysłone głęboko, tak przejęte tém co spełniali, jakby zadanie usłania stołu było niezmierniej wagi. Panna Salomea, niemłoda już ale czerstwa i zdrowa sługa jójmości brała tu prym przed Piusem milczącym i akomodującym się jój wejrzoniom i cichym rozkazom. Pius był także nie dzisiajszym sługą, a jeżeli nie rówieśnikiem Chorążego, to o lat niewiele od niego młodszym, równie jak on czerstwym, a z powodu stanu kawalerskiego, jeszcze nawet okazującym pewne do resztki młodości pretensye.

— Już jegomość o Ewarysta się turbuje, cicho szepnęła chorążyna do panienki, chociaż niema czego, bo ja pewna, że przybędzie w porę. To tylko nie.

dobrze, że Ewaryst do ostatniej godziny podróż odłożył..

— A bo się tam w Kijowie nie rozpuszczają wcześniej, a drogi kawał, i kto wie jaka tam droga? prędko odezwała się Madzia.

Obie jakoby się zmówiły, spojrzały na zegar stojący w jadalni; odwieczny szafiasty stróż porządku na cyferblacie zciemniałym z białego jakiegoś kruszcu wskazywał, że było już po trzeciej.

— Wigilia, gdyby jak, dodała Madzia, nie gotowaby była przed piątą.

Zaczęło się zastawianie stołu.

Wśród ciszy panującej we dworze, leciuchny szmer sanek przesuwających się po śniegu doleciał do uszu chorążyniej, która wyjrzała. Mąż jej stał w oknie przypatrując się, ale że zaraz nie wyszedł na spotkanie do sieni już to zdawało się zapowiadać, iż nie Ewaryst spodziewany przybywał. I nim ku drzwiom pospieszył gospodarz, wszedł donośnym głosem wesołym witając słuszny mężczyzna w sukni długiej czarnej, oznaczającej duchownego.

— Niech będzie pochwalony!

Zaledwie Chorąży odpowiedział, gdy ksiądz Zatoła dodał już z podobną intonacją.

— Pokój temu domowi!

— I temu kto mówi.

Głosy się krzyżowały wesołe.

— A pana Ewarysta, niema? zapytał duchowny, ściskając się z gospodarzem.

— Dotąd nie ma!

Ksiądz Zatoła był w sile wieku mężczyzna, zdrowy, ospowatej, czerwonej, wesołej twarzy, której

wyraz tak samo jak Chorążego malował wielki pokój duszy, z małą przymieszką jakiegoś niby szyderstwa z marności tego świata.

— Ależ sypie! odezwał się ksiądz, jeszcze kilka godzin a kopno będzie.

— Ja myślę, że to i Ewarysta opóźniło, bo w stepie, na polach, miejscami już śnieg grubo leżeć musi, a miękki jak puch.

— Pada jak z rękawa, bez najmniejszego wiatru, odezwał się gość; sanna będzie doskonała, byle się trochę utarła, i powinszować panom, bo wywózka zboża pójdzie łatwo...

— Jeżeli sanna potrzyma, odrzekł Chorąży, ja już nie jeden taki rok pamiętam, że się na Gody (Boże Narodzenie) słało jakby miało trwać wieki, a koło Nowego Roku deszcz poszedł.

— A! mało co nie bywało! zaśmiał się ksiądz, ale Pan Bóg łaskaw, źle nie będzie ..

Pius wyprostowany, w nowym surducie wniósł światło, bo już w pokoju dobrze ciemniało, gdy sanie pod ganek zaszły... i w domu wszystko drgnęło...

Był to ów tak tęsknie spodziewany pan Ewaryst, który w chwilę małą już wpadł żywym krokiem do pokoju i schylił się ojcu do kolan, gdy ten go za szyję chwyciwszy, do piersi swych ciągnął.

Chłop był jak wołyńska pszenica, niby kłos bujny na silnej łodydze, mężczyzna w całym znaczeniu wyrazu. silny, zdrów, piękny, z wyrazem czystej, pewnej siebie młodości na licu poczciwem, rozjaśnionem w tej chwili radością niezmierną, jaką wlewa widzenie najdroższych swych i kąta najmilszego, rodzinnego, gniazdo, w którym się zrosło, z którego się uleciało.

Ewaryst podobny był do ojca, ale coś z matki miał w uśmiechu i spojrzeniu, jakby się w nim zlały dwie dusze rodzicielskie w jedną. Miło nań spojrzeć było, i ojciec też nie posiadał się z radości i matka płakała, wybiegłszy do niego, i ks. Zatoka z pobożnym weselem, ze złożonemi rękami patrzył na ten obraz szczęśliwości najczystszej, najpiękniejszej na ziemi, żadną nie skalanej myślą ni namiętnością czarną.

Słowa z ust wylatywały, rwały się, płały, nie była to rozmowa, był gwar jakiś ucieszny, weselny, jakby usta w téj chwili strzymać nie mogły milczenia, wyrazy przerywały uśmiechy, nie słuchano pytań ni odpowiedzi, cieszone się sobą...

Starym chorążtwnu łzy z oczów płynęły, ocierali je ukradkiem...

Potrzeba było dość długiej chwili na to, aby się uspokoiły te serca. Chorążyna wybiegła kończyć ubranie i myśleć o wigilii, Ewaryst siadł z jednej strony przy ojcu, a ks. Zatoka z drugiej, ale stary patrzył tylko na syna.

Wśród téj sceny noc się zrobiła zupełna, a choć coś na niebie księżycy było i śnieg świecił trochę, światła już mało dalej oczy dojrzały.

Godzina wieczery się zbliżała, i domownicy ściągać zaczęli, a Ewaryst szedł serdecznie ich witać. Pierwszym z nich był stryjeczny brat Chorążego, zubożały pan Paweł, wcale do niego nie podobny, zgięty w pół, schorzały, stary z odwróconemi u oczów czerwonymi powiekami, które ciągle ocierał. Ten, że nie mógł mówić głośno, bo i na zadyszkę cierpiał, cicho sciskając Warysia błogosławił. Za nim wciągnął sta-

ry ekonom Otrobowicz, wierny sługa domu, krzy-
czący głośno, a zachrypły i potrzebujący odkaszkliwać
ciągle, drab zamaszysty, wąsaty, śmiały, ale w obec
Chorażego pokorny i unizony aż do zbytku.

Od jadalnego pokoju wysunęła się naprzód pani
Zbińska, zwana tu pospolicie Sędziwą, daleka krewna
samej pani, podstarzała kobięcina z różańcem na rękę
i wystrojona już jak na wigilią z głową nastrzeżoną
wstążkami, mówiąca głosikiem miodowym i śmiejąca
się ciągle. Siedziała ona tu na łasce u krewnych, bo
wszystko straciła wielką naiwnością i nieopatrnością
swoją, i tu jej teraz nawet strzedz musiano, aby pier-
wszy z brzegu furfant, korzystając z łatwowierności,
ostatku nie zabrał..

Na ostatek żwawo wybiegła panna Madzia, tak-
że sierotka na opiece tego domu zostająca, i jak bra-
ta, wesoło, serdecznie przywitała pana Elwarysta. roz-
poczynając z nim zaraz rozmowę o podróży, w którą
się i inni, oprócz p. Pawła, miesza. Ten tylko z tru-
dnością głowę podnosząc, krwawemi oczyma przy-
patrywał się chłopcu i usta mu drgały, ale mówić
się nie zebrał. Ani by też cichego jego głosu dosły-
szano wśród powszechnego gwaru.

Z sąsiedniej jadalni biło już pozapalane światło
do wieczerzy, stół był gotów, gdy i Chorażyna z opłat-
kami na talerzu, przystrojona w suknię jasną, liliową,
ukazała się w progu.

Zacząło się łamanie chlebem pańskim, życzenia
i uściski, łamanie w koło. bo wszyscy się chcieli z so-
bą rozłamać, a coś powiedzieć z serca i do serca. Zbiń-
ska płakała dziękując dobrodziejom, płakał pan Paweł

ściskając brata, który się musiał schylić do niego; Madzia też miała łzy w oczach...

W izbie jadalnej czekał na opłatek cały zastęp domowników aż do najmniejszego chłopięcia, wszystkich Chorążtwa obeszli podając im opłatek i każdy do kolan się im kłaniał, mruczając jak mógł i umiał z ruska i z polska życzenia na Chrystusowe Narodziny.

Pius stary z opłatkami w ustach natychmiast począł roznosić na przemiany polewkę migdałową i barszczyk postny. [Rozmowa potoczyła się wesoło a ochotnie o zimie, o święcie, o roku nowym, który nadchodził i *de politicis*, bo u nas bez tego nie—świat nas tak obchodzi, jak gdybyśmy my go wielce obchodzili!] Otrobowicz miał ważną wiadomość, iż dla kawalerii owies zakupowano, co miało oznaczać niechybną wojnę, a ks. Zatoka mówił, że słyszał o sucharach, co potwierdzało wróżby owsiane. Chorąży przypominał, iż zawsze czasu wojny na zboże się ceny podnoszą, co dla gospodarzy rzecz pożądana.

Cudnowski Aron jeździł już za kupnem, ale ile za parę dawał, nikt z pewnością powiedzieć nie umiał. Sprzeczano się trochę, Chorąży zapowiadał, że w tym roku trzymać się będzie z ceną, bo w przeszłym się pośpieszył.

Wyszła tedy na stół i stara maksyma, że pierwszego kupca odpychać nie należy, zwłaszcza gdy są przykłady zmowy handlarzy między sobą.

Tymczasem Ewaryst o podróży swęj z Kijowa, opowiadał panu Pawłowi. Chorążyna spytała go czy przywiózł co do Bałabuchy

Szczupaki, okonie, leszcze i karasie. pierogi z kapustą. łamańce z makiem, kutia, wszystkie potrawy podaniowe z kolei się ukazywały, a ks. Zatoka dawał dobry przykład używania daru Bożego, bo jadł i pił aż się gosposia radowała. Prawda że, jak zaręczał, a wierzyć mu było można, od rana nic w ustach nie miał. Było to jego zwyczajem, w wigilią nie jeść do wieczery, a w W. Piątek pościć o chlebie i wodzie.

Butelczyna starego węgierskiego przyszła na ostatek dla konkokcyi, i z resztką jój, po wyciągnięciu z pod obrusa przepowiedni jaki len będzie w tym roku, przeszli wszyscy do salonu.

Tu na ostatku idący p. Ewaryst spotkał się z Madzią, schylił się jój do ucha nieznacznie i szepnął.

— Coś ci mam powieźć, ale ni czas ni pora?

Zdziwiło się dziewczę mocno i, wcale niepomieszone, podniosło oczy na pana Ewarysta, z tym spokojem, który świadczył, że żadne oprócz braterskiego uczucia, w sercu jój nie powstało.

Ewaryst téż mówiąc to nie wyglądał na rozmarnego, rzecz się widocznie tyczyła czegoś im obu nie tak blizkiego, aby się potrzebowali płonąć i mieszać.

— Mnie? cóż to może być? zapytała uśmiechając się wesoła panienska — tajemnica jakaś?

Spojrzała w téj chwili na kuzynka, na którego twarzy postrzegła, że to co miał jój powieźć nie musiało być wesołe. Strwożyła się nieco.

— Nic bardzo złego? spytała...

— Bardzo złego, nie — odpowiedział żywo chcąc skończyć Ewaryst, — ale niespodzianego coś, no... później.

Z krótkiej tej słów zamiany widać było, iż Chorążyc z Madzią był dobrze, poufale, lecz tylko po bratersku.

Gdy w jednym kątku bawialni około butelki się skupili starsi, Chorążyna ze Zbińską i Madzią zasiadła na kanapie, powołując syna, aby się jej spowiadał z całego swojego życia w mieście. Wprawdzie po kobiecemu i po macierzyńsku szczególniej wypytywała o warunki powszedniego życia, o wygody, o godziny snu, pracy i spoczynku, lecz można było się domyśleć z tej na pozór obojętnej rozmowy, że instynkt matki byłby jej dał łatwo odgadnąć co stało po za tem, co rządziło myślą i sercem.

Ewaryst nie potrzebował ani się taić z niczém. ani odpowiedzi swych ważyć, mówił śmiało i otwarcie, bo nie taić i niczego się wstydzić nie potrzebował. Z wesołością studencką opowiadał matuli jak to się urwisowsko i po młodemu żyło w tem mieścisku. którego oboje państwo Chorążtwo nie lubili.

Ani tego wieczora, ani nazajutrz nawet, Ewaryst nie miał zręczności rozmówić się z Madzią na osobności, może téż nie bardzo się z tém śpieszył.

Kilka razy dziewczę go zaczepiało, a cóż: ta tajemnica? Coś mi to pan miał powiedzieć?

— Będzie na to czas, znajdziemy chwilę stosowniejszą, to długa historia — odpowiadał jakby wahając się chłopak.

Madzia, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, ruszała jednak ramionami i pomrukiwała sobie.

— Ciekawa rzecz — co téż to może być?

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia upłynął nie rozwiązawszy zagadki. Dwóch szlachty z okolic Lubaru, obowiązanych panu Chorążemu przybyło w gościnę. Madzia i p. Ewaryst ciągle byli prawie zajęci, pomagając starym w przyjęciu.

Madzia jako nieodrodne dziecko Ewy była trochę zaciekawioną, lecz parę razy spróbawwszy dobyć tajemnicę z kuzynka nareszcie musiała powiedzieć sobie, iż rzecz była zapewne niewielkiej wagi.

Na drugi dzień sami zostali Chorążtwo, Ewaryst już się był przed nimi wypowiedział z najglówniejszych

spraw swych i myśli i pod wieczór z Madzią znaleźli się w sali jadalnej, pustej, sam na sam, jakby umyślnie dla poufnej rozmowy.

Ewaryst sam ją rozpoczął.

Zwykle śmiały sposób jego mówienia i żwawość dowodząca, że się nad tém co miał mówić nie potrzebował namyślać długo, trochę się zmieniły, co uderzyło Madzię.

— Dawno miałaś wiadomość od siostry? zapytał nie bardzo odważnie, oglądając się do koła.

Jakby jednego wspomnienia tego dosyć było dla strwożenia wesołej Madzi, twarzyczka jej dotąd promieniejąca, pobladła, zmieniła się i słowo zamarło na ustach. Potrzebowała czasu na odpowiedź przychodzącą jej nie łatwo.

— Od siostry — powtórzyła spuszcżając oczy. od siostry? Pan Ewaryst wie, że od Zoni prawie nie wiem wiadomości nigdy... Mogę powiedzieć, że jej nie znam...

A! dodała ciszej, ja sierotą będąc, choć mi w domu waszym nigdy się to uczuć nie dało, takbym była pragnęła zbliżyć się do niej! wiedzieć coś więcej! niestety! tej w życiu pociechy podobno nigdy mieć nie będę.

Jakieśmy się rozstały dziećmi jeszcze, gdy mnie wzięli państwo moi najlaskawsi na opiekę, a Zonię zabrała pani Ozereńkowa, ledwie kiedy, zdala coś się o nią dowiem, a i listów nawet nie pisuje. Siostry jesteśmy. a jak obce!

Podniosła oczy na pana Ewarysta i spytała.

— Mów pan, może wiesz co o niej?

Ewaryst stał zdając się namyslać. patrzył na biedne dziewczę, które zasmucił pytaniem i wyrzucał sobie, iż postąpił jakoś niezręcznie.

Natura jego szczerą i otwartą nie dozwalała mu kunsztownego obrotu nadać rozmowie, krótko więc pomyślawszy, znalazł najwłaściwszém odpowiedzię od razu tém, na co chciał był przygotować Madzię.

— Nie będę nic w bawełnę obwijał, rzekł — bo nie umiem, Zonia jest w Kijowie.

Usłyszawszy to, drgnęło dziewczę i przysunąwszy się bliżej, zawołało natrętnie.

— Widziałeś ją! zmiłuj się! mów! Jak ona jest? gdzie? Czy uchowaj Boże nie stało się co złego. Ewaryst znowu napróżno się namyslał i ważył chwilę.

— Ozereńkowa umarła, rzekł powoli.

— Więc ona została sama, bez opieki? może bez żadnego sposobu do życia, a! panie Ewaryście, zaklinam was, mówcież mi prawdę całą, nie tajcie nic. — Ja mam mężtwo, bo mam wiarę...

Ośmielony temi słowy, Chorążyc począł otwarcięć.

— Posłuchajcież jak to było. Nie nowina u nas w Kijowie widziéć na niektórych odczytach kobiety,-- Madzia przerwała żywo.

— Gdzie? na jakich odczytach? cóż to są za odczyty?

— Po prostu na lekcyach naszych profesorów, tłómaczył Ewaryst, kobiet młodych wiele teraz nawet uczęszcza na takie, na którychby ich się spotkać nie spodziewało. Nie ma w tém nic złego, ale że to nowość i że potrzeba się wcisnąć na lekcyę pomiędzy samą

trziptowatą młodzież — odwagi wiele musi mieć kto się na to waży.

— A! Boże! wykrzyknęła Madzia, bledniejąc i przysłuchując się z coraz żywszém zajęciem.

— Na jednej lekcyi, mówił dalej Ewaryst, w pierwszych ławkach, zobaczyłem panienkę, która mnie szczególniej zajęła; najprzód bardzo piękną i pełną rozumu twarzą, trochę zeszpeconą krótko obciętemi włosami...

Madzia sobie oczy zakryła... Ewaryst postrzegł, że włosy te ją strwożyły i dodał pędko.

— Ale proszę sobie nie wyobrażać, żeby w tém było coś nadzwyczajnego... Bardzo wiele młodych panien chodzi z krótko ostrzyżonemi włosami. Przyczyną mody być może potrzeba, bo kto sobie sam służy, ten z długimi włosami wieleby tracił czasu...

Madzia westchnęła.

— Trzeba przyznać, że Zonia, gdyż ona to była, ma śliczną twarzą, pełną inteligencyi, życia, odwagi prawie męskiej, mówił dalej Ewaryst. Zainteresowała mnie niezmiernie. Zacząłem się dopytywać kto była. Gdy mi nazwisko powiedziano, gdym się jeszcze imienia dowiedział, byłem już pewien, że jest siostrą waszą. Postanowiłem bądź co bądź się z nią poznać, aby wam przywieźć od niej wiadomość.

Tu wstrzymał się znowu Ewaryst, Madzia zrozumiała, że się namyślał nad dalszym ciągiem opowiadania i kładąc mu dłoń na ręce — dodała.

— Proszę otwarcie! mówcie, nie oszczędzając mnie; przecież Bóg łaskaw, może tak bardzo złego nic nie ma.

— Ja złego nic nie wiem, odparł Ewaryst. ależe mi się dziwną wydała i ona i jej życie...

Przerwał sobie nagle i dodał.

— Trzeba o tém pamiętać, kochana Madziu, gdzie i jak się wychowywała, a przytém i temperament jej i usposobienie wcale od waszego różne...

Westchnienie łzawe prawie wyrwało się z piersi biednej Madzi.

— Mów, panie Ewaryście, zaklinam was, ciekawa jestem, a więcéj jeszcze niespokojną — nic mi nie taj...

— Ażebyś mnie lepiej zrozumiała, począł Chorągżyc, muszę ci dodać to, że w naszym studenckim świecie, jak we wszystkich innych, są dwa prądy i dwa światy. Jeden idzie sobie zwolna krokiem mierzonym ku światłu oglądając się, aby po drodze głowy nie rozbić, drugi pędzi gorączkowo, na oślep, niedobrze wiedząc dokąd, choć w najlepszej wierze, iż ku dobru, ku jasności, ku prawdzie goni. Ja, moja Madziu, należę do ludzi spokojnych i nie chcących się awanturować; inni szturmem zdobywają, lub pragną opanować wielki cel jaki mają przed sobą.

Dowiedziawszy się o Zoni, gdzie jej szukać miałem, poszedłem na Padoł do niejakiéj pani Heliodory Paramińskiej, u której ona mieszkała. Tylko, Madziu moja, ani się dziwuj, ni wykrzykuj desperacko, gdy ci powiem jak ją zastałem.

Powiedziano mi, że tylko wieczorem znaleźć ją mogę. Trafiałem do domku Agafii Prochorównej Salhanowej, który mi wskazano. Tu gospodyni zaprowadziła mnie sama do pani Heliodory. Z przedpokoju już niesworny gwar jakiś i rozmowa bardzo głośna nie-

przyjemnie mnie uderzyła. Zawahałem się czy wniknąć i poprosiłem starą Agafi, aby pannie Raszkównie oznajmiła, że się ktoś z nią chce widzieć. Weszła, ja zostałem za drzwiami. Słyszałem jak mnie meldowano i śmiały, dźwięczny głosik zawołał.

— No, to może przecie tu wejść! Śmiech wesoły towarzyszył tym wyrazom.

Duży pokój na dole, do którego wszedłem, znalazłem pełen dymu od papierosów i cygar... Z za obłoków jego zobaczyłem na kanapie siedzącą kobietę, średnich lat, dosyć przystojną, z głową odkrytą i włosami tak postrzyżonemi jak u Zoni, palącą papierosa i rozprawiającą żywo bardzo z kilku młodymi ludźmi otaczającymi stolik. Kilku innych siedzieli w głębi na krzesłach, Zonia spodziewając się jakiegoś gościa wyszła była nieco ku niemu. I ona trzymała cygaretkę w ręku...

Spojrzawszy na jej minę śmiałą i wyzywającą, przykro mi się zrobiło. Postąpiłem nieśmiało krok ku niej i powiedziałem kto jestem.

— A! bardzo miło mi poznać pana! odparła podając rękę po mężku.

Przypomniałem się jej z kuzynostwem, rozśmiała się.

— A! co tam! pokrewieństwo! odparła śmiało, [wszyscy ludzie są sobie braćmi, a przynajmniej być powinni.]

Prosiłem, aby mi dała poznać gospodynię.

— Heldusiu — zawołała zwracając się do niej, pan Ewaryst Dorohub.

Towarzystwo otaczające panią Heliodorę już ją musiało o mnie objaśnić na swój sposób, gdyż dosyć

zimno zostałem przyjęty. Znałem zdaleka wszystkich tych panów jak oni mnie, należeliśmy do tych przeciwnych obozów, o których wspomniałem, więc nie miałem u nich łaski.

Zonia także przyjęła mnie bardzo chłodno, dosyć jej było popatrzeć na mnie, aby poznać to o czém gospodyni podszeptano, że należałem do ciemnych.

Uśmiechnął się Ewaryst. Madzia choć smutnie pożerała każde jego słowo, nie zupełnie zdawała się je rozumieć.

— Towarzystwo przed chwilą tak wrzawliwe, ciągnął dalej Chorążyc, umilkło prawie, szeptano po cichu.

Dawano mi do zrozumienia, że tu był nie zbyt pożądanym gościem.

Nie zważając na to, zacząłem wypytywać Zonię, głos zniżywszy, o nią same. Sądziłem, że jej to będzie znosniejszem, ale na pierwsze słowo odpowiedziała mi głośno.

— Przepraszam, przerwała smutnie Madzia, ale opisz że mi pan jak ona wygląda; ja chcę ja widzieć...

Najprzód powiem, że jest bardzo, bardzo ładną. Oczy ciemne, śmiało patrzące, czoło dosyć wysokie, noski mały, usta jakby nadąsane i dumne; piękne włosy choć niemiłosiernie obcięte, ale bujne, przy tém figurka zręczna, silna z ruchami trochę męzkiemi.

— Ale ja jej jeszcze nie widzę! zawołała Madzia jakże... ona jest...

— Piękna i śmiała! powtórzył Ewaryst uśmiechając się, choć w kobiecie zawsze mnie taka jakaś rubaszność razi, jej z tém do twarzy. Ma w sobie coś

sympatycznie usposabiającego, szlachetnego, otwartego... niepodobna się nią nie zająć...

Ale słuchajże dalej — mówił Ewaryst. Gdym ją spytał co się stało z Ozereńkową: umarła poczciwa Sędzina, rzekła wzdychając, i jej winnam, że się bardzo o przytułek i przyszłość nie potrzebowałam kłopotać. Zapisała mi co miała, z tém przybyłam do Kijowa. Chcę się uczyć, będę się starała mózdz sobie na życie zarobić sama i nikogo już nie potrzebować...

Słyszając to pani Heliodora, siedząca na kanapie, dodała:

— A już to z Zoni, z jej odwagi i pracowitości to doprawdy, przykład drugim brać, to kobieta!

Szmer otaczających potakiwał tym słowem — Zonia się uśmiechała pogardliwie.

— Nie macie mnie z czego chwalić, odezwała się, na bezrybiu i rak ryba, tak też i ja. Gdzie wszystkie kobiety albo za piecem siedzą, lub się kogoś za poły trzymać muszą, wyglądam na osobliwość wielką, a w tém dziwu nie ma, tak być powinno. Dosyć nas już niewolnicami było i sługami.

— A! Boże mój! przerwała Madzia załamując ręce i cała we łzach. Ewaryst się zatrzymał i po chwili kończył opowiadanie w krótszych wyrazach.

— Jednym słowem, moja Madziu, Zonia się zupełnie wyemancypowała... Przyjęła mnie całkiem jak obcego, i na tém się prawie skończyła nasza znajomość z nią. Spotykaliśmy się często, zaledwie mi raczyła główką kiwnąć zdala i zaraz się odwracała. Nie chciałem być natrętnym, tylko na wyjezdném zbliżyłem się raz do niej, pytając: czy nie zechce napisać co

do ciebie, albo ci co kazać powiedzieć. Uśmiechnęła się na to.

— Jeśli pan chcesz mów jój, niech u nikogo na łasce nie siedzi, niech niczyją nie będzie niewolnicą, niech przyjeżdża tu, uczy się i wyrobi się na człowieka! Powtarzam ci jój słowa...

Ażeby odmalować wrażenie jakie całe to opowiadanie uczyniło na Madzi, potrzebaby przypomnieć wychowanie jój w tym spokojnym, patryarchalnym starym zamiłowskim dworze, do którego żadna nigdy nowa myśl się nie wcisnęła, gdzie wszystko nowe było uznawane złém, zepsutém i psującym, gdzie świat jeszcze toczył się odwieczną wybitą koleją...

Madzia słuchała ze zgrozą i rozpaczą w sercu. Zonia zdała się jój zgubioną. Rozplakała się tak, że do swojego pokoiku uciec musiała. Ewaryst pożałował prawie, że jój smutną o siostrze przywiózł wiadomość.

Nie było to jednak bez celu.

Zonia mimo swj ekscentryczności, a może przez nią samą, zajmowała go mocno, chciał, spodziewał się przez siostrę wpłynąć na nią.

Dnia tego Madzia, mając oczy od płaczu czerwone, wcale się już, pod pozorem bólu głowy, nie pokazywała, a Chorążyna przypisując go potrawom świątecznym skazała ją na wszystko leczący na wsi rumianek...

Gdy rano potém wyszła trochę blada, a Ewaryst mógł się do niej przybliżyć, najprzód starał się ją natchnąć meztwem i wytłumaczyć, że Zonia wcale nie była winną, że okoliczności popchnęły ją na tę drogę, na której odwaga i charakter poczciwy nie dadzą się jój obłąkać.

— Zrób jedno, odezwał się w końcu, napisz do niej jak do siostry, nie dając jęj poznać, żem ci ją odmalował trochę zdzięcałą i dziwaczną, napisz jęj od serca, długi list. Jestem pewny, że on na nięj uczyni wrażenie.

— A! mój panie Ewaryście, odparła Madzia, pokornie ręce składając. Pisać! ja! ale czyż ja potrafię tak napisać do nięj, aby mój list. . A! nie! nie! ja pisać nie umiem. Gdybym ją widziéć mogła! klęknąć, zapłakać, uścisnąć, toby może poskutkowało, ale pisać!! Nie! nie!

Jednakże myśl poddana przez Ewarysta utkwiała w nięj. Innego dnia zapytała go, jakby to należało pisać.

— Zupełnie tak jakbyś do nięj mówiła, odparł kuzyn. Nie trzeba nic a nic wyszukiwać, nic a nic układać, dozwoić sercu, żeby dyktowało, a choéby wyrazy nie szykowały się bardzo udatnie, list przemówi do nięj, serce uderzy...

Spojrzała na niego Madzia i ruszyła ramionami.

— Ale ja listy piszę okropnie! dodała. Gdzie to tam kobiécie brać się do pióra!

Z tém się rozeszli, lecz ktoby był podpatrzył Madzię zaryglowaną siedzącą w swoim pokoiku wieczorem, przy łojowej świeczce, myślałby może, iż zakazany jakiś bilecik pisze, tak go i łzami skrapiała i porywała się do pióra namiętnie i rzucała je rozpaczliwie, kilka ćwiartek leżało zasypanych literami, z których znaczna część była pokreślona potém i pozamazywana.

Po tęg do pół bezsennęj nocy powiedziała naza jutrz spotkawszy się z Ewarystem.

— Próbowałam pisać, ale co to warto? Na nic. Gdybym mogła pojechać do niej do Kijowa, byłoby wcale co innego.

— Wiesz przecie, że to być nie może, przerwał Chorążyc, a przezemnie list posłać, jakikolwiek bądź, potrzeba koniecznie.

— Koniecznie? zapytała Madzia.

— Cóżby to znaczyło, gdybyś wiedząc o niej odepnie, słowem się nie odezwała? odparł Ewaryst.

— Ależ i ona mogła napisać do mnie? nieśmiało odezwała się Madzia.

— Mogła, i nawet myśl tę jęj poddawałem, ale...

— Cóż ona powiedziała?

— My się nie znamy, jesteśmy sobie zupełnie obce, co ja do niej pisać będę? Kłaniaj się jęj pan odepnie jeśli chcesz...

I że ona tak mnie zbyła, nie w tém dziwnego, wedle jęj pojęć nie ma nic złego w odpowiedzi. Gdybyś ty się okazała obojętną moja Madziu...

— To, napiszę! odezwało się dziewczę posłuszne.

Przez cały ciąg pobytu Chorążycy u rodziców, trwały i narady o ten list i ciche o Zoni rozmowy.

Panu Dorohubowi jednak i Chorążynie nie mówiono nic o Zoni, ażeby ich tém nie martwić naprózno.

Po trzech królach trafił przyniósł szlachcica z pod Wasilkowa, z okolicy właśnie, w której Ozereńkowie mieszkali. Pani Chorążyna, która się Madzią zaopiekowała, zawsze pamiętała o jęj siostrze i utyskiwała nad tém, że ją zabrała Sędzina, nazywała to nawet rozbojem i gwałtem, gdyż miała zamiar obie sieroty wychowywać razem.

Szlachcic pan Weryha, daleki krewny Chorążego, miał sprawę w okolicy i zwyczajem szlacheckim u krewnego obrał sobie fundum. Wieczorami rozmawiano o najrozmaitszych sprawach i ludziach, byle czas jakkolwiek przepędzić, Chorążyna nie mając już o co spytała o Ozereńkową.

— A cóż tam Sędzina Ozereńko, nie wiecie co się u nich dzieje?

— Sędzia zmarł, to pani Chorążyna pewnie wiesz. Sędzinie po nim niewiele zostało, a ładu u nich nigdy nie było. Biédowała, chorowała, gryzła się, no, i zmarło się tóż jój nie tak dawno.

Dorohubowa ręce załamała.

— A z wychowanicą jój, siostrą naszój Madzi, cóż się stało? zawołała z przestraczem.

Szlachcic dziwną zrobił minę.

— Ozereńkowa jój podobno zostawiła po sobie wszystko co tam było. . choć niewiele tego się zebrało... Pojechała z tém, słyszę, do Kijowa.

Stary wása pogładził, uśmiechnął się i nie dokończył. Widząc wchodzącą Madzię, Chorążyna dała mu znak, aby milczał. Niepokojna potém schwyciła Ewarysta do kąta.

— Słuchajże co Weryha powiada, szepnęła mu. wszak to Zonia podobno po śmierci Ozereńkowej, którój się zmarło, pojechała do Kijowa. Czyż ty tam o niój nic nie słyszał?

Ewaryst tak był przyzwyczajony mówić przed rodzicami prawdę, iż w pierwszej chwili zarumienił się i zmięszał. Kłamać nie mógł a całej prawdy mówić nie chciał.

— Słyszałem, że ma być w Kijowie i że się czegoś uczy, sposobi do czegoś... dobrze nie wiem, odparł Chorążyc... Chciałem się nawet o nią dowiedzieć coś więcej, ale mi trudno było i czasu zabrakło...

— A! to nie do darowania doprawdy, odezwała się matka łagodnie. Przecież to siostra rodzona Madzi. My nie możemy ją tak opuścić. Sama jedna, nie mająca żywej duszy na świecie, taż to marnie przepaść może! To się nie godzi! My byśmy ją wzięli!

Ewaryst znalazł się w trudnym położeniu, nie mogąc wyjaśnić, dla czego wziąć ją nie było podobna. Dodał tylko, że za powrotem się dowiędzie o niej więcej, że słyszał, iż była u pani jakiejś itp.

— Nic że ty o tym nie mów Madzi, aby się nie martwiła, dodała Chorążyna, ja się z jegomością naradzę, a trzeba coś na to zrobić, aby biedna dziewczynina nie przepadła...

Rozmyślał już Ewaryst, czy ojcu nie powiedzieć prawdy całej, gdy Chorążyna uprzedziwszy go, już się z nim naradziła i postanowiono, aby ona syna odprowadziła do Kijowa dla zabrania Zoni. Stary Dorohub nie czynił najmniejszej trudności w przyjęciu jej pod swą opiekę, znajdował tylko, że kto wie czy to dla Madzi dobrą będzie, gdy nie wiadomo jak wychowana siostra do jej towarzystwa przybędzie. Chorążyna trafną znalazła tę uwagę.

— To prawda, rzekła, że po wychowaniu u tych Ozereńków nie bardzo dobrego się spodziewać nie można, ale natura poczciwa nie powinna się była dać zepsuć.

— Zepsuta czy nie, odparł Chorąży, zawsze inaczej ona pewnie wygląda niż poczciwa Madzia, star-

sza od niej o rok: nie bez tego żeby na nią nie wpływała. Możemy jej nie wyratować, bo już w tych latach przerabiać ją trudno, a Madzi zaszkodzić. Niech no jejmość pomyśli dobrze.

Myślano, roztrząsano, spierano się po troszę dni następnych, a że i Ewaryst brał udział w rozmowach nie trudno mu było zmienić matki postanowienie, a przynajmniej wykonanie jego odroczyć. Zgodzono się na to, ażeby Ewaryst powróciwszy starał się bliżej dowiedzieć coś o Zoni i doniósł czy Chorążyna ma po nią przyjeżdżać, albo w inny sposób starać się jej być pomocną.

Tym sposobem wszystko zostało w zawieszeniu. Madzia tymczasem ogromny swój list do siostry przygotowywała.

Rzeczą było dziwną, że ona co pióra nigdy nie trzymała w ręku, chyba dla przepisania jakiej recepty gospodarskiej, modlitewki, albo zanotowania bielizny idącej do prania, gdy raz poprobowała tej rozmowy z siostrą na papierze, prawie namiętnie się nią zajmowała i wszystkie wolne godziny jej poświęcała. Biegała zamykać się w swoim pokoiku, bazgrała, przepisywała, poprawiała, odczytywała, popłakiwała przy tém i los tego pisma tak ją obchodził jak nigdy jeszcze nic w życiu.

Prawda, że sieroctwo zwiększało przywiązanie do siostry i troskliwość o nią, że to serce piszące było miłości pełnem ku nieznannej, biednej, opuszczonej Zoni, lecz i tajemnicze działanie myśli oderwanej od człowieka, wracającej doń w odzieży słów, niby dziecięcia własnego odzywającego się do rodzicielki, przyczyniało się téż do wrażenia, jakie list na nią wywierał.

W wigilią wyjazdu Ewarysta arkusiki były odczytane raz jeszcze, ponumerowane, poskładane i zapieczetowane jak najnieforemniej. Madzia w sekrecie oddała je drżącą ręką Chorążycowi, prosząc, aby ucho-
waj Boże nie zgubił, a postarał się koniecznie o odpowiedź, Chorągstwo ze swój strony polecili synowi, żeby się o Zonię dowiedział i szczerą im o niej napisał prawdę. Sama pani myśląc o biednej sierocie popłakiwała; serdecznie pragnęła ją zabrać do siebie, a lękała się razem nie już utrapienia i niepokoju w domu, lecz wpływu siostry roztrzpiotanej na Madzię. Tak ją sobie wyobrażała pani Chorążyna, wiedząc, że ów dom Sędziego Ozereńki był bardzo otwarty, gościenny, ożywiony do zbytku, a o tém co się tam działo za żywota jego, różnie jakoś mówiono.

Domek Agafii Salhanowej na Padole sięgać musiał prastarych czasów, a przynajmniej budowano go wedle ich tradycyi i obyczaju. Właściwie rzekłszy był to dwór wiejski przeniesiony do miasta. Cały z drzewa niepospolitej grubości, mocno i porządnie swojego czasu stawiony, składał się z długiego korpusu, zwróconego ku ulicy siedmią czy ośmią oknami biało obramowanemi na tle zciemniałym bierwion sosnowych, i z dosyć długiego parkanu wysokiego, który opasywał dziedziniec obszerny z szopami i składami. Szerokie wrota przytykające do dworu wiodły do środka. Dom nie miał innego wejścia od ulicy. Salhanowie mieli oprócz podwórza, stajen i składów, które wynajmowali, sad jeszcze rozległy z tyłu, owocowe drzewa i ogród warzywny. Właścicielką terazniejszą tej pięknej posiadłości była stara Agafia Salhanowa, wdowa po zamożnym kupcu, mająca syna jedynaka, który gdzieś w innej prowincyi w służbie rządowej nieposłennie zajmował stanowisko. Kobięta była prosta, pobożna, ciekawa, nie mająca ani wielkich trosk na głowie, ani zajęcia koło domu, więc wszystko ją żywo obchodziło na co patrzała. Jedyłą część swojego

dworku, którą wynajmować była zwykła, nie spuszczać się na kontrakty, oddawała z kolei różnym lokatorom, z którymi zawsze łączyły ją węzły, inaczéj nazwać się nie mogące, chyba związkiem uprzejmój ciekawości. Stara Agafia miała zwyczaj siadywać godzinami u swoich, jak ich zwała, postojalców, gawędę z nimi prowadzić, trochę im służyć i pomagać, nade wszystko zaś starać się być wtajemniczoną w ich myśli i sprawy.

Niegdyś bardzo piękna, ale bardzo uboga, zostawszy żoną bogatego kupca, choć do dobrego bytu nawykła, nie nauczyła się dumy, ni pożądała wydawać się z pańska. Chodziła w chustce jedwabnej na głowie w sukni bardzo prostéj, odziana prawie jak sługa, poufaliła się chętnie w braku innego towarzystwa nawet z furmanami, którym wynajmowała stajnie swoje, byle mieć z kim pogawędzić, pośmiać się i mieć od kogo posłyszéć coś nowego. Tak samo teraz skrzętnie przysłuchiwała się staruszka pani Heliodorze, mającéj u niéj mieszkanie, aby do jéj towarzystwa wstęp uzyskać i z ludźmi być. A że tu żwawa i wesoła uczęszczała młodzież, którą staruszka lubiła, nieraz się podejmowała sługę wyręczyć z samowarem, aby potém stanąć i posłuchać jak się to śmiało i gwarzyło.

Rozumiała czy nie to co mówiono stara Agafia, ale ją sam dźwięk mowy, samo jéj brzmienie wesołe, twarze rozjaśnione, urywane i pochwytywane słowa niezmiernie bawiły. Lubiała Heljodorę, ale stokroć więcéj przywiązała się do Zoni, niemal jak do dziecięcia i dla patrzenia tylko na nią, gotową była na największe ofiary.

Dobre to było serce niewieście, które choć pełne miłości dla syna oddalonego, dla męża zmarłego, nie czuło się jeszcze nią nasyconém, potrzebowało powszedniego chleba — miłości bliźniego — i nie przebierało w niej byle nie głodnieć.

Agafia stara właśnie rozmowę jakąś wesołą dokończywszy z parobkami, którzy pod wieczór z jej podwórza wychodzili, i pożegnawszy ich stała w ciepłej, futerkiem podszytej ohrejduście u wrót swoich i rozpatrywała się do koła, gdy się ku nim zbliżył przystojny człowiek.

Gospodyni ze swą pomarszczoną, zawsze uśmiechającą się twarzą, której bardzo regularne rysy wyrazem dobroci uderzały, zajmowała sobą tak furtkę służącą do wejścia, iż przybywający nie pozdrowiwszy minąć jej nie mógł.

Staruszka zaś nadto była na rozmowę łakomą, aby mogła przepuścić przychodzącego, nie popróbowałaś coś z niego wyciągnąć.

— A do kogo to paneczku idziecie? zapytała. Ja tu gospodyni, ja tu wszystkich znam, a was jakoś nie widywałam?

— Chciałbym się widzieć z Zonią Raszkówną, rzekł przybywający, który był nie kim innym jak Ewarystem. Jest w domu?

Stara przypatrywała się bacznie stojącemu przed nią, ale się nie spieszyła go wpuścić.

— Z Zonią Raszkówną? powtórzyła z uśmiechem. Znać ją? prawda! to panienska jakiej drągiej na całym Kijowie nie ma. Kochane dziecko. O! ja ją jak córkę Kocham...

Ewarystowi trudno było się zebrać na odpowiedź. a stara mówiła, spoglądając mu w oczy.

— Oj! dla was chłopców to niebezpieczna czarownica!! Kto ją zobaczy, aby raz, zapomnieć nie może, dosyć, aby spojrziała:

Pokreśliła głową.

— Ho! ho! ale z nią nie łatwo! Piękna jak anioły niebieskie, ale śmiała jak huzar... A u niej dzielne słówko rzec, jak orzech zgryźć...

Ewaryst słuchał nie przerywając.

— Jest w domu? zapytał.

— A jest! jest! odparła Agafia, ja jój sama zaniosłam lampkę, bo ona ciągle się grzebie w tych papiérach i książkach, po których jój nic, tylko młodość marnuje, biédactwo, a dość jój téj krasy co ma, aby sobie los zrobiła, na co jój więcéj! Ale to dziecko ciekawe, a kto się takiém raz urodził, nigdy spokoju mieć nie będzie.

Unikając dłuższéj we wrotach rozmowy, Ewaryst ruch zrobił jakby chciał wejść, mimo staruchy.

— Czekażcie, rzekła, toż tak nie będzie, bo i nie trafisz do niéj po ciemku, ja was poprowadzę.

— Juści ja do niéj, kiedy sama jest pójść nie mogę, rzekł Chorążyc, pópresiecie ją do gościnnéj izby... kiedyście łaskawi.

— Cóż to myślicie? odparła Agafia, ona się zléknie u siebie przyjąc studenta? E! e! nikogo się ona nie boi i o nic nie dba... Tam gdzie jest was przyjmie...

Stara powoli, skinąwszy na Ewarysta pominęła furtkę, przez podwórze zawróciła do dworu i weszła do ciemnéj sieni.

— Idźcie za mną w ślad, dodała, bo na prawo drzwi do lochu, nie jeden co ich nie zna, zaczepił się o zawiasy i wpadł...

Z sieni zwrócili się na prawo, do jeszcze ciemniejszego kurytarzyka i stara Agała pomruczawszy coś otworzyła drzwi, Ewaryst stał w progu dosyć dużego pokoju, z wielką prostotą umeblowanego. Na lewo była ogromna perkalem zbrukanym dosyć okryta sofa, a przed nią duży stół zarzucony papierami i książkami, kilka krzeseł drewnianych różnego kształtu rozstawionych było dokoła stołu. Na prawo duża szafa, koło niej komoda, na ścianach pałki, pokój czynił podobniejszym do studenckiej niż do panińskiej kwatery...

Na jednej z pałek, z pośrodku książek wyglądała dziwnie trupia głowa, na której umyślnie rzucono biały czepeczek. Świeży ten stroik na żółtej kości wyglądał jak smutne szyderstwo...

Na wielkim stole paliła się lampka, przed nią siedziała ze spuszczoną głową, z rozrzuconymi włosami Zonia, która posłyszawszy otwierające się drzwi podniosła twarzyczkę z brwiami zmarszczonymi.

— Gościa wam przyprowadzam, odczwała się stara, choć [gość nie w porę gerzój Tataraj] ale to dobrze, że was od tych waszych książek oderwie.

Zonia nie podnosząc się z krzesła usiłowała poznać oznajmionego jej, tak jakby mu chciała dać odprawę.

Zobaczywszy Ewarysta i poznawszy go, nachmurzyła się bardziej jeszcze, lecz zmusiła się widocznie i popchnąwszy leżącą przed sobą książkę, powstała.

Chorażyc wszedł, Agafia, która nie miała pozoru by przyzostać, przynajmniej jak najpowolniej zamykała drzwi, aby coś z ich rozmowy pochwycić.

— Przywożę wam ukłony i list od siostry, odezwał się wchodząc Ewaryst. Wracam ze świąt ze wsi, od rodziców...

Zonia słuchała obojętnie, podała mu rękę i wskazała miejsce naprzeciw siebie na sofie. Zdawała się kwaśno zrezygnowaną.

Gdy Chorażyc list jój podał, gruby i wielki, rzuciła głową z uśmiechem, kładąc go przed sobą na stole.

— Madzia tak pragnęła was zobaczyć, dodał Ewaryst, że gdyby to było przyzwoite a możliwe, gotową była jechać ze mną.

Zonia ruszyła ramionami.

— A dla czegoż to wam się zdało niemożliwe? odparła. Kobieta u was to zawsze dziecko, które kręku stąpić nie może, aby dla niego niebezpieczeństwa się nie obawiano?...

Siadła na swoim stolku i przybrała postawę tak ja-koś swobodną, że Ewaryst się zarumienił mimowolnie. Jedną rękę zarzuciła na poręcz krzesła, bawiąc się nią puklami swych włosów, drugą ujęła się w bok, nogę założyła jedną na drugą, główkę podniosła do góry. Było jój z tém ładnie, lecz zdawało się, że umyślnie przybrała postawę taką, aby jak najmniej być podobną do młodej, skromnej panienci. Czuć w tém było trochę zadanego sobie gwałtu.

Zmięszany Ewaryst nie wiedział już jak dalej prowadzić rozmowę, której pragnął, a do której Zo-

nia wcale się nie zdawała usposobioną, gdy na myśl przysłała mu matka.

— Nietylko Madzia wybierała się tak do was, odezwał się, ale i matka moja gotową była przyjechać tu, dowiedziawszy się, że zostałeś tak samą.

Alboż to ja sama nie powinnam sobie dać na świecie rady? odparła z oznaką małej niecierpliwości Zonia, poruszając się na krześle. Ja wiem, że wam ze mną się trudno będzie zrozumieć, dodała, bo wy inne myśli macie w głowie, które wynieśliście z domu, a ja trochę się napiłam z żywiącego źródła... Tak, nam się będzie zrozumieć trudno, wy po staremu kobiety, dziewczynę macie za istotę, która bez łańcucha się obejść nie może i musi chodzić całe życie na paskach, ja wiem i czuję co innego! Tak było, ale tak być nie powinno, kobieta tyle przynajmniej warta jest co mężczyzna i równe ma prawa, jeżeli w czem to do oświecenia się i uczynienia niezależną. Żadnej opieki bym nie przyjęła nad sobą, bo to jest niewola, a ja nie znoszę, nie cierpię niewoli.

— Wszyscy my i mężczyźni i kobiety, odpowiedział Ewaryst, po troszę swój swobody nieograniczonej musimy się wyrzec, bo bez tej ofiary nie byłoby rodziny i nie było społeczeństwa...

— O! wiem ja to, wiem! przerwała piękna Zonia. Dajcie pokój, wy mnie nie nawróćcie, a ja was nie myślę gorszyć.

Uśmiechnęła się z pewnym rodzajem politowania i nagle dodała.

— Cóż? sanne w drodze mieliście dobrą?

Zwrot ten w rozmowie prawie był obrażającym dla Ewarysta, który się zarumienił mocno i zamilczał.

Śmiała dziewczyna popatrzała nań długo, wstrząsnęła nieco ramionami i chwyciwszy linę ze stołu, zaczęła gryźć jój koniec, jakby z niecierpliwości. Dawała mu do zrozumienia, że się go pozbyć chciała. Ewaryst nie ustępował. Zbuntowane to dziecię obudzało w nim coraz żywsze zajęcie...

— Choćbyśmy się odrazu nie rozumieli, odezwał się namyśliwszy, możesz mi wierzyć, panno Zofio, że z wielką i szczerą życzliwością zbliżam się do ciebie, nie godzi się dobrego serca odpychać.

Oczki jój błysnęły.

— Cóż! apostołem chcesz pan być? nawracać mnie? naprowadzić na prawą drogę! Parsknęła. Proszę cię, panie Dorohubie, nie wyobrażaj sobie, że głowę mam zawróconą jakąś fantazyą bez podstawy. Bardzo dobrze rozważyłam dokąd idę, z czém i po co. Z tój drogi wasze, przepraszam pana, świętoszkowskie morały ściągnąć mnie nie mogą.

Powiem ci otwarcie, mam przekonania, z których gdybym się mu wyspowiadała, odskoczyłbyś jak od zapowietrzonej. Do kościoła nie chodzę wcale, Pan Bóg tego nie potrzebuje, wiarę mam moją własną, którą na rozumowanych podstawach buduję, pojęcia o życiu nadto zuchwałe i wyemancypowane, aby pan Ewaryst Dorohub, wierny syn kościoła, szlachcic z kościelnymi, posłuszne dziecko, bojaźliwy uczeń, po kropelce połykający naukę, aby się nią nie otruci, mógł najmniejszą dla takiej poganki uczuć sympatyą...

Mówiła żywo bardzo, patrząc na Ewarysta, który słuchał, nie okazując zbytniego podziwienia, wszystkiego mógł się spodziewać z tego co słyszał o Zoni i kółku, wśród którego się znajdowała...

Nim miał czas odpowiedzieć, Zonia wstała z krzesła, popchnęła je, bujne swe krótkie włosy obu rękami poprawiła żywo i zaczęła się przechadzać, z ukosa patrząc na gościa, jakby mu powiedziéć chciała. No — idź że sobie. Ewaryst siedział.

— Ogadujesz się, panno Zofio. rzekł spokojnie, — nie wierzę, abyszaszła tak daleko, a sądzę że gdybys nieopatrznie zabiegła istotnie na te krańce, powrócisz z nich smutna i zawiedziona.

— O! nigdy! przenigdy! zawołała Zonia gorąco, popaliłam mosty za sobą! Z tego stanowiska, którego się dobiłam, już się nie powraca...

— Za przyszłość nikt ręczyć nie może dodał Ewaryst.

— Ja ręczę, bobym zawiedziona i zmuszona zaprzéć się przekonani, żyć nie chciała! — i umarła!

— Jak to?

— Jak? najprościej w świecie! kropla-strychniny starczy...

— A godziź się to? zawołał oburzony Dorohub.

— Dla czegoż się nie ma godziź? Jak to? ja com nie prosiła o życie, miałabym nie mieć prawa zrzucić z siebie to brzemie kiedy zechcę?

— A Bóg! krzyknął Ewaryst. Z pogardą obróciła się Zonia ku niemu.

— O waszym Bogu macie antropomorficzne pojęcia, odparła.

Ruszyła ramionami.

— Sam widzisz, dodała, że z naszymi pojęciami tak różnemi, zrozumieć się nam niepodobna. Przerwał mi pan rozdział bardzo zajmujący fizyologii — a czas drogi.

— Prawda i ja nie mam prawa, nawet w imię największej życzliwości dla was, domagać się z niego ofiary.

Zonia stanęła chwilę w pochodzie swcim po pokoju, była podrażniona.

— Madzia mówi codzień regularnie paciierz? pości w Środy i Piątki, odprawuje nowenny... ja jój tych rozkoszy nie bronię, dla czegoż wy mnie chcecie — bo ja to czuję, wy chcecie mnie zakuć w więzy?

Nikt do mnie prawa nie ma!

— I nikt go nie rości, odparł Ewaryst, ale mamy dla ciebie miłość.

— Al ta miłość waszał przerwała Zonia, jak ona ładna w słowach, jak straszna w czynach. Z tój to miłości palono na stosach, wyciągano na torturach.

Gdy Zonia się tak rozgorączkowała, Ewaryst stygl, bo mu litość nad tą biedną ścisłała serce...

— Domyślasz się, panno Zofio, rzekł, rzeczy o których mnie się przynajmniej nie śniło. Nie myślę cię nawracać, jak ty to nazywasz, ale czuję i obowiązek krwi i nie wiem już jak nazwać tę pobudkę, czuję potrzebę zbliżenia się do panny Zofii... Jestem z obowiązku tego rodzajem opiekuna...

— O! bardzo proszę, bardzo proszę, tylko żadnej cpieki nademną nie rozciągać, opiekę mam w mojej głowie i serca, innęj nie potrzebuję.

— I ani krewnych, ani przyjaciół znać nie chcesz? spytał Ewaryst...

— Krewnych? nie rzucim, odezwała się Zonia, związki te krwi konwencyjonalne są, natura ich nie zna... tylko o tyle o ile one są potrzebne dla zachowania rodzaju. Co się tyczy przyjaźni, mylisz się

pan, mam i potrzebuję przyjaciół, ale najpierwszym przyjaźni warunkiem jest jedność pojęć i zasad, a tych między nami nie ma, i nigdy nie będzie, chyba byś pan na wiarę naturalną się nawrócił? dodała szydersko. Ewaryst spuścił głowę milczący.

Zonia widząc, że się go tak łatwo nie pozbędzie, a mówić już nie chcąc, chwyciła ze stolika list Madzi, rozerwała kopertę, dobyła z niej éwiartki, które się posypały na ziemię i zawołała zbierając je:

— A! tyle napisała! Za wszystkie lata! Znać, że nie do roboty nie ma.

Twarz biednego Chorążycy, który zbity zupełnie z tropu, dotknięty boleśnie całą rozmową, siedział chmurny i widocznie cierpiący, tak była wyrazistą, że dziewczę kilkakroć ją zmierzywszy oczyma, pomimo złego swego usposobienia ku niemu, uczuło rodzaj politowania nad tak zamordowanym człowiekiem. Widziała się zwyciężką, mogła być miłosierną. Oczywiście mierzyła milczącego, wzbudzał w niej pewien rodzaj współczucia.

Westchnęła zlekka. Tak, rzekła trochę złagodnym głosem, tak, my się nie zrozumiemy nigdy, stojemy zbyt od siebie daleko. Znam bardzo dobrze dom wasz i ducha jaki w nim panuje. Ja dla was jestem buntownicą, a wy dla mnie biednymi zaślepionymi.

Ewaryst dał jój mówić.

— Powiadasz, że znasz dom nasz i ducha jaki w nim panuje, odezwał się, duch to po staremu chrześcijański, dodałbym chrześcijański po staropolsku, co się nietylko do słowa i litery wiązała, ale z każdój dobywał iskrę miłości, która jest całą nauką Chrystusa.

Tak, myśmy chrześciance, ty się nazywasz poganką. Nie stałaś się nią sama przez się, któż cię nią uczynił?

Z uśmiechem poprawiła go Zonia.

— Powiedz lepiej kto mnie zgubił? Kto mi ten kamień przywiązał do szyi? Wszak tak?

Ewaryst poruszył ramionami.

— A! to długa historia, odezwała się i z za paska dobyteg zegarek. Jeżeliś ciekawy? możesz widzieć tego mistrza, któremu winnam nawrócenie moje.

Za kwadrans dadzą herbatę u Heldusi, zejdz się na nią pewnie więćj osób, ale powinien być i Jewłaszewski... Ewaryst, który zdala w ulicach widywał wymienioną figurę i cośkolwiek wiedział o niej, rad był zaproszeniu i skłonił głowę przyjmując je. Chciał zbliźka zobaczyć i poznać tego oryginała.

Jewłaszewskiego w owych czasach widywano często w ulicach Kijowa, a samym strojem i postacią ściągwał oczy i uwagę, zdając się chieć tego, choć pozornie skromną miał powierzchowność.

Był to mężczyzna już lat czterdziestu kilku, jeżeli nie pięćdziesięciu, słuszny, wyprostowany, krzepki, z twarzy niepiękny, siwiejący, wielce i aż do zbytku sztywny i poważny.

Mówił zawsze jak z katedry, a twarz jego długa, rysów dosyć regularnych choć niemłych, przybierała naówczas wyraz jakiegoś natchnionego apostołstwa. Wygłaszał aforyzmy... nie rozumiejąc i nie przypuszczając żadnego sprzeciwienia się i sporu. Mistrz rzekł, a gdy się odezwał, rzecz powinna była być skończoną, wszelka niepewność rozstrzygniętą.

Jewłaszewski ubierał się dziwacznie, nosił małą podstrzyżoną brodę i wąsy, włosy długie obcięte rów-

no do koła, kołnierz od koszuli spięty wielkim fantastycznym gazem, czarne buty długie i strój, który przypominał dostatniego właściciela małorosyjskiego.

Żimą i latem chadzał w baraniój czapce. Była to wówczas wyrocznia młodzieży, która się u niego chętnie zbierała wieczerami i wynosiła ztąd myśli najdziwniejsze, niekoniecznie w logicznym z sobą związku będące, ale świetne, niby oryginalne, niby nowe i niby obite w nieskończone wnioski...

Kto nie przyjmował doktryn Jewłaszewskiego, tego on po prostu łajał, a w męskim towarzystwie słowy tak dobitnymi, jakich tylko wieśniacy używają po gospodach, gdy się pokłóca.

Mówiąc apostoł podnosił rękę jedną do góry i palec wskazujący kierował jak pistolet w pierś słuchacza...

Z czego żył i czem się właściwie zajmował ten niby literat, po troszę prawnik, a głównie filozof eklektyk, który pono niczego się nigdy nie czytał i był jeniałnym autodydaktem, nikt dobrze nie wiedział.

Unikał również badania o przeszłość, jak spojrzenia w oczy, w które nikomu patrzeć sobie nie dozwalał i natychmiast je odwracał.

Wiele dobrego być mogło w tym człowieku, zmieszanego z różną przez wiatry naniesioną plewą. Uczynnym był, oburzała go wszelka niesprawiedliwość, brał słabych gorąco w obronę, życie przytém prowadził niemal anachorety. Żył się w najprostszy sposób, po chłopsku, a nawet z pewną przesadą, wszelkich wygódek i pieszczot unikał, wytrwały był na zmiany klimatu, kąpał się w zirmie w przerebłach.

Czynił to z zasady, a zdrowie mu jakoś dozwalało być jej wiernym.

Gdy Ewaryst zgodził się mileżąco na zbliżenie do Jewłaszewskiego, Zonia trochę zdumiona popatrzała na niego, ale widać z niej było, że przyjęła to rada.

— Więc, odezwała się poprawiając bez ceremonii trochę rozrzucone włosy przed małym lusterkiem do którego się zwróciła, więc, chodźmy do pokoju Helusi, bo się tam już nasze zwykłe towarzystwo powoli ściągać zacznie. Wiem, że cno dla pana sympatycznym nie będzie, ale kto wie, może się przekonasz, że w nim więcej jest życia i przyszłości niż w waszych kółkach, w których hypokryzja panuje.

Ewaryst uśmiechnął się tylko, nie odpowiadając nic. Zonia poszła przodem i przez siń ciemną poprowadziła go do bawialni, w której już raz pierwszy się spotkali.

Pokój ten obszerniejszym jeszcze wydał się teraz Ewarystowi, bo w nim nie było nikogo oprócz gospođy, wygodnie siedzącej na kanapie, z rękami zanurzonymi we włosach i głowę spuszczoną nad książką. Nieodstępny papieros chwilowo położony na stoliku kurzył się niedopalony. Oprócz niej tylko stara Agafia krzątała się w kątku, przygotowując herbatę dla nieuniknionych co dzień gości.

Chorażyc mógł teraz lepiej się nieco przypatrzeć przyjaciółce Zoni pani Heliodorze, której twarzy nie kryły przed nim kłęby gęstego dymu. Była to średnich lat, może trzydziestu kobieta, mająca jeszcze resztki młodości na twarzyczce, która nigdy nie była piękną, ale teraz jeszcze błyszczała wielkim zyciem

i niepohamowaną żywością. Trochę małe oczki czarne, trochę szerokie usta różowe, trochę blada i nalaną okrągłą twarz, mimo nieregularności rysów, miały w sobie coś miłego i pociągającego. Wszystko to życie przeszłe, zapewne bez wielkiej rachuby prowadzone, przedwcześnie zrobiło zwiędłym i zmęczonym. Ręce téż, które podniosła, białe, nieco chude, starsze prawie były niż ona. Ale pod tą powłoką zużytą czuć było namiętą jeszcze żywotność ducha niezmordowanego, a oczy patrzyły bystro i świadczyły o rozumie.

Spojrzawszy na Chorążycę poznała go zaraz wdowa i podała mu rękę, okiem pytającym mierząc tę co go przyprowadziła. Zonia odezwała się obojętnie, jakby zroszciała, że ją pytano.

— Chciał poznać Jewłaszewskiego. Wdowa wnet zwróciła wejrzenie na przybysza.

— Siadaj pan (wskazała mu miejsce przy sobie na kanapie), Jewłaszewskiego istotnie poznać i posłuchać warto, bo to człowiek jakich mało.

— Jakich nie ma! poprawiła Zonia.

— Umysł prawdziwie wyższy — dodała Heljodora, osobistość znakomita, charakter piękny; a przytém co za prostota!

Kończyła te słowa, gdy się drzwi otworzyły i wszedł słuszny chłopak młodziutki, czarnooki, z twarzą dość przystojną, choć przedwcześnie pofałdowaną, jakby już gwałtownie jakimś podlegała zmianom, które młodą czystość jój rysów nadwężyły. Szybkim krokiem wpadł do pokoju, witając naprzód poufale podaniem ręki Zonie, która bliżej stała, potem tak samo podchodząc do gospodyni, którą pozdrowił zale-

dwie słowem, i czapkę na stół rzuciwszy, wziął się do zwijania papierosów.

Z jakąś nowiną, której głośno powiedzieć nie chciał z powodu Ewarysta, schylił się do ucha pani Heljodory i spytał zaraz o Jewłaszewskiego, którego tu ojcem nazywano.

— Spodziewam się że dziś przyjdzie, odpowiedziała wdowa — jeżeli, bo to mu się często trafia, nie zapomni o dniu i godzinie, nie zapędzi się w jakąś rozprawę, którym u niego końca nie ma.

— Ale ja ręczę, że będzie — przerwała Zonia śmiało, bo mi obiecał.

— A najmilszej swój uczennicy i ukochanej córce zawsze słowa dotrzymuje, dodała z małym ironii odcieniem wdowa. Zonia zdawała się być dumną z nadanego jej tytułu i dokończyła.

— O! tylko co go nie widać!

Tymczasem nadszedł jeszcze drugi i trzeci młodzieniec, a obiecanego pana ojca nie było, wszyscy oni spoglądali na Ewarysta z rodzajem nienfności i podziwienia, jakby tu sobie dłuższej jego przytomności nie umieli tłómaczyć. Hamowała ona śmielszą ich rozmowę, chociaż po naradzie cichój z Zonią, panowie ci zdali się wkrótce mniej zwracać uwagi na natręta. Znali go oni wszyscy z widzenia jako jednego z tych kolegów, którzy ich kółka unikali.

Zaczęto rozprawiać o wykładach profesorów, wtrącono potem kilka kwestyj osobistych, ożywiła się pogadanka przy okrągłym stole, za którym siedziała wdowa, gdy naostatek wszedł ów spodziewany Jewłaszewski.

Wnijście jego miało już w sobie coś oryginalnego. Zatrzymał się na progu, oczyma mierząc i licząc towarzystwo, dojrzał Ewarysta osobiście sobie nieznanego i skrzywił się nieco. Od progu nie śpieszył ku gospodyni, która wstała na jego przyjęcie, i wszyscy zwrócili się z pewnym uszanowaniem, witając ojca. Zonia pierwsza podbiegła ku niemu z poufałością, dziecinną i radością widoczną, chwytając go za rękę, pochyliła mu się dół ucha i szeptała coś zaczęła. Oko jego zwrócone na Ewarysta dowodziło, że mu c nim mówiła.

Większą jeszcze powagą na widok nieznanego oblekło się oblicze p. Jewłaszewskiego.

Ewaryst przystąpił, aby mu się przedstawić.

Ojciec przyjął go zimno i ostrożnie, zamruczał słów kilka, zdawał się chcieć zbadać wprzód przybysza, nim się miał cały przed nim otworzyć. W wejściu błędnem widać było niemal obawę. Tymczasem drudzy otaczali już go, a że za nim szło też kilku młodzieży, w pokoju zrobiło się już gwaro...

Zonia, wcale się nie ceremoniując z tymi towarzyszami, podawała im ręce, śmiała się, dawała przybliżyć do siebie aż do zbytku; odprowadzała jednych na bok, drugich klepała po ramieniu. Była teraz jakby w swoim żywiole.

Jewłaszewski zaczeplany ciągle, ale prawie milczący, nie spuszczał z oka profana, szedł powoli ku stolikowi. Znać było po nim, że go ten obcy niepokoił trochę.

Zonia z ukosa obu ich mierzyła oczkami, ciekawą będąc zbliżenia ku sobie. Inni jednak rozdzielali

ich tak, że Ewaryst pozostał na boku w początku, a że się cisnąć nie chciał, odosobniony stał sam jeden.

Zobaczywszy to Zonia trochę się zmarszczyła, podeszła do Jewłaszewskiego, wzięła go pod rękę i jak podbitego a posłusznego niewolnika odwieciała na stronę.

— Niech no ojciec będzie łaskaw, tego pana trochę weźmie na spytki i wzięli mu się trochę. Jakiś to tam mój kuzyn, zdaje się dobry chłopiec, tylko zahukany wychowaniem... umyślnie tu został, aby ojca poznać. Nie wątpię, że wy go ojczulku, nawrócicie.

Jewłaszewski słuchał zmarszczony.

— Ale, moja Zoniu, odparł, nie tak to łatwa jest rzecz rozpowijać umysły, na których ciasne pieluchy, noszone długo, zostawiły piętna. To się tak na oczekaniu nie robi. Trzeba znać subjekt, nim się zechce działać na niego, aby praca nie była straconą nadaremnia...

— To też proszę, abyś się ojciec poznał z nim, dodała tonem dziwnie nakazującym Zonia, jakby znała moc swą nad starym. Jewłaszewski popatrzał na nią, głową pokręcił, i gdy mu się jeszcze uśmiechnęła, zamilkł jakby już sprzeciwić się jej nie mógł.

Dziwny jakiś stosunek łączył te dwie istoty, bo w wejrzeniach starego ojca, ktoby je chciał był badać, więcjby może się znalazło niż rodzicielskie przywiązanie. Dziewczę panowało widocznie nad nim i znało swą siłę, choć sobie może z niej nie zdawało sprawy. Jewłaszewski prawie z niej oka nie spuszczał, a gdy ona patrzyła nań, roztapiał się pod tém spojrzeniem i mieszał a niepokoił.

Zaraz po odebranych rozkazach, zwrócił się manewrując zrećźnie stary, zawsze krocząc z powagą sobie właściwą, wprost ku Ewarystowi.

— Pan tu pierwszy raz jesteś między nami? zapytał go głosem pedagoga, który ucznia egzaminowi poddaje.

— Tak jest, odparł Ewaryst.

— Ale w uniwersytecie już pan jesteś oddawna? mówił ciągle go badając oczyma stary.

— Drugi rok zaczynam...

— Na jakim oddziale, jeśli wolno zapytać? ciągnął dalej ojciec.

— Rozpocząłem prawny, rzekł Ewaryst, mam przed sobą zawód życia praktyczny, gospodarza wiejskiego. Agronomia u nas uczy się z tradycyi, bo dalej po za nią nie wyszła, ale stosunki prawne potrzebują, aby się do nich przygotować...

— Tak — odparł sucho Jewłaszewski. Widać, że pan posłuszny woli rodziców, wszelkich wyższych aspiracyj się wyrzekłeś i nie zamierzasz dalej sięgać nad to — eo pod ręką.

Skromność to piękna...

Uśmiechnął się ironicznie, Ewaryst nie bardzo wiedział co ma mu odrzec na to.

— Tak — dodał po namyśle, byłem posłuszny woli rodziców, a oprócz tego i w sobie nie znalazłem dotąd pobudki do szukania dróg innych.

— To dziwna, bo właśnie pan jesteś w tym błogosławionym wieku, gdy się nadziejami i myślami zwykło strzelać wysoko.

Tu Jewłaszewski przybrał jeszcze poważniejszą postawę pedagoga, i począł mówić zwolna, sam z lubością przysłuchując się sobie.

— Przyznaję się, że mi zawsze żal gdy widzę młodzieńca w jego wieku, nie mającego odwagi zapisać się do falangi przodowników! Nasz wiek tak potrzebuje tych rycerzy w obronie prawdy stawać mających.

Ewaryst miał odwagę zapytać — Prawdy? ale jakiejże prawdy?

Ojciec z politowaniem pewnym spojrział nań.

— Biada tym co jój nie widzą, co o nią pytają! rzekł. Stoї ona obnażona, jasna, widoma po nad głowami naszymi!

Nie czujesz-że pan, iż stoimy na fałszu, oddychamy fałszem, karmimy się nim, rdzą jego jesteśmy przegryzieni. [Wszystko co istnieje musi się obalić i pójść precz, abyśmy powrócili na drogę prawdy, z której zeszlśmy... Kamień nie powinien zostać na kamieniu.]

Mówiąc to spojrział bystro na Ewarysta, szukając w nim wrażenia swój wymowy. Chorążyc słuchoł spokojny i pocisk ten gwałtowny wcale się nie zdawał go obalać, jak się mówca spodziewał.

— Przepraszam bardzo pana, rzekł pokornie, lecz chcąc się oświecić muszę być natrętnym w rzucaniu pytań i wątpliwości.

[Ile razy ludzkość z jakiegokolwiebądź powodu nagle zrywała z tradycjami i gardziła zdobyczami i pracą wieków, które ją poprzedziły, widzimy w historii zawsze upadek jój. Nie podnosi się aż znowu powracając do łańcucha ogniw, które stanowią, łącząc się

z sobą, historią postępu ludzkości. Istotny postęp mnie się zdaje stopniowym pochodem, nie gwałtownym miotaniem się. Czémże bylibyśmy wyrzekając się tego co przeszłość zbudowała?]

Jewłaszewski słuchając zagryzał usta, oczy mu rosły, powieki drżały, parę razy rzucił wejrzenie w bok ku Zoni, niby z wymówką, że go na rozprawę z zuchwałym przeciwnikiem naraziła.

— To są poglądy przestarzałe, odparł z rodzajem pogardy ojciec, zatrzymawszy się chwilę. Są momenta w historii ludzkości, w których wielkie i gwałtowne leki potrzebne są na zabójczą chorobę, w takim momencie właśnie my się znajdujemy... Mamy wiele, zaprawdę wiele do czynienia! Burzyć! burzyć! Gwałtownym ruchem ręki Jewłaszewski słowom zapragnął dodać wyrazu. Ewaryst stał milcząco.

— Gdybyśmy dozwolili iść wszystkiemu wybitym torem powoli, nigdyby ludzkość nie doszła do swych celów,—ciągnął dalej ojciec, odrobina prawdy jaką odziedziczyliśmy z przeszłości tak się splątała z fałszem, iż aby wykorzenieć go i ją poświęcić potrzeba... chwilowo, nie ma o to strachu—odrośnie.

Spojrzał na Chorążycę; zdało mu się, że działać nań począł i ciągnął dalej z większą śmiałością i zapalem.

— [Z fałszywych dróg nie zchodzi się inaczej jak cofając, lecz cofanie się to pozorne jest, bo ku prawdzie prowadzi.]

I stało się milczenie wielkie, po tym aforyzmie, na który Chorążycę nie odpowiadał, Jewłaszewski zaś nic jakoś na podorędziu nie znalazł, by do niego przyczepić.

Widząc jednak, że słuchacz nie ucieka i zdaje się oczekiwać na dalsze wyjaśnienia, ojciec zaczerpnął z innéj beczki.

— Tak, młody panie — odezwał się, zaprawdę wiele mamy do czynienia, pola chwastami pozarastały, nim zasiejemy je, wyplenić, wyplenić musimy! chwilkę pomilczał.

— A wiész pan, dodał zwracając się ku niemu z żywością, gdzie ziarna prawdy szukać?

Oto tam, gdzie je natura zawsze ukrywa na zapas—gdzie ono grubą warstwą ukryte przechowuje się niezsute—u ludu!

— Lud potrzebuje oświaty, odezwał się Ewaryst, lecz nie wiem czy ją dać może?

— Oświaty wedle pojęcia powszechnego on nie ma, sprzeciwił się Jewłaszewski, ale ma skarby, o których sam nie wie, zachował instynkta zdrowe. Z tych czerpać nam potrzeba. Przytém jest to do dziś dnia klasa paryasów, wywołańców, na których pasożytem siedzi i karmi się reszta ludzi, temu koniec położyć potrzeba.

— Czyż nauka Chrystusowa nie położyła już końca temu, ogłaszając braterstwo wszystkich ludzi i miłość dla bliźnich czyniąc najpierwszym obowiązkiem? spytał Ewaryst nieśmiało.

Podumał chwilę mąż natchniony.

— Naukę tę zwichnięto w kolébce, dodał. Lecz widzę, że wy, kochany panie, zbyt zacofani jesteście, a ja od razu chcąc was nawrócić na wyższe stanowisko, musiałbym wielką z jego przekonaniem stoczyć walkę, odłóżmy więc to na czas inny...

Jewłaszewski otarł czoło, był już zmęczony a nie bardzo pewien wrażenia jakie wywarł, wołał się więc tymczasowo wycofać, i lekko skinąwszy głową Chorążycowi, postąpił ku innym oczekującym nań młodzieńcom, którzy zdala się ciekawie przypatrywali pojedynkowi jego z Ewarystem, nie wątpiąc bynajmniej, że pobity zostanie.

Chorążyc jeszcze nie mógł ochłonać po ukropie jakim go zlano, gdy Zonia się ku niemu przysunęła, chcąc pochwycić kuzynka nimby przyszedł do siebie po szwanku.

Zdziwiła się nieco znajdując go spokojnym i raczej skłopotanym niż zwyciężonym.

— A cóż? a co? zawołała, mówiliście z ojcem? prawda? co za wymowa? co za myśli? jaki człowiek?

Chorążyc pochylił głowę, potwierdzając to uwielbienie milczeniem.

— Mało miałem czasu do poznania go i radbym bardzo kiedyś wolniejszym go znaleźć.

— O! to trudno! przerwało dziewczę. Z nim, potrzeba chwycić momenty i słowa, on tak jest zajęty, tak otoczony...

Młodzież za nim przepada — ciągnęła coraz żywiej. Wy nie wiecie, to encyklopedya chodząca! Spytać go o cokolwiekbądź, każdą naukę zna, w każdą wniknął głęboko, wszędzie wskazuje słabe strony, braki... umysł dziwnie krytyczny...

Ewaryst się już nie sprzeciwiał, lecz chłód pewien i powściągliwość, z jaką się wyrażał o mistrzu wielbionym, rozdrażniła widocznie Zonię.

— Posłuchajcie no tylko jeszcze zdala co mówić będzie, rzuciła szybko, wskazując mu, aby z nią ra-

zem zbliżył się do ojca otoczonego młodzieżą — przekonacie się, jak uniwersalny to geniusz... Ewaryst szedł posłuszny w jej ślady, przysunęli się do gromadki, tu mowa była o naukach w ogóle. Jewłaszewski wyrzekał na idealizm w nich i zrządzone przezeń szkody.

— Wszystko na nowo zdobywać potrzeba, wołał, fantazyja zastąpiła doświadczenie. W pomoc rozumowi zwichniętemu muszą przyjść nieomylnie zmysły. Ślepego dziadka będzie dziatwa prowadziła...

Przykłaśnięto mu.

Komunały panowały świata wszędzie równo na katedrze jak w salonach, w życiu i naukach. Precz z niemi—do natury! do natury! do prostych obyczajów; do skazówek, które leżą w nas, a które faryzeusze tylko zowią chuciami i namiętnościami.

Tak daleko się zapędziwszy, nagle pan Jewłaszewski powściągnął się, ostygł i chcąc zmienić przedmiot, zagadnął jednego ze stojących o jakąś kwestyą prawną. W tém miał się za bardzo mocnego. Stara jednak Agafia Salhanowa nie dała rozwinąć się dyskusyi, bo poczęła roznosić herbatę. Rad był może temu Jewłaszewski i ze swoją szklanką poszedł na kanapę, zabierając miejsce przy gospodyni.

O Ewaryście zapomniano trochę; stał zasłonięty innymi; dochodziły go tylko urywki rozmowy, którą bardzo prędko papląc wiodła głównie pani Heljodora.

— Słowo daję! tak jest! No — uciekła z nim? krzyczą na nią? za co? kochała go? miała zupełne prawo! kobiéta powinna być wolną i iść za sercem...

Nikt nie przeczył. Jewłaszewski dodał.

— Te wszystkie kajdany form naszych towarzyskich, zadawnionych, przestarzałych popekać muszą...

Niepodobna, aby mężczyzna czy kobieta pokutowali żywot cały za nieroztropne jakieś zobowiązanie się przedwczesne...

Ewaryst posłyszawszy to spojrzął na Zonię, chciał wiedzieć, jak tę tak zuchwale wygłoszoną prawdę przyjęła. Zonia stała o stół oparta z namarszczoną brwią, z twarzą zamysłoną, ale się nie sprzeciwiając.

— Jedyne związki prawy, zakończył Mistrz, to związki serc... Gdy te się rozchodzą, ludzie rozejść się też mają prawo!!

Komentarze tego pięknego aforyzmu tak głośne były i hałaśliwe, iż Ewaryst już pochwycić nie mógł oprócz gwaru. Ścisnęło mu się serce trwogą jakąś, rad był zaprotestować, lecz niepodobieństwem było wdawać się w rozprawę z tym tłumem.

Nie widząc go, Zonia zbliżyła się ku niemu i sama wyszukała w ciemnym kątku, w którym stał przysłonięty. Spojrzenie jakie rzucił na nią, nie wiedzieć dla czego oblało ją rumieńcem... Sądziła, iż powie coś, i zdała się oczekiwać od niego słowa, choćby surowego, ale Ewaryst nie chcąc rozpoczynać z nią walki, znajdując ją może napróżną, z cicha tylko żegnać ją począł. Wyraz smutny jego twarzy powiedział jój to czego usta nie śmiały.

— Przeczytaj proszę list siostry, rzekł wysuwając się ku drzwiom, i odpisz jój, ja kiedyś przyjdę po odpowiedź.

Zonia skinęła główką i oczyma do drzwi go przeprowadziła.

Wiosna w tym roku wcześniejszą była niż zwykle i piękniejszą niż u nas bywa, nie przerywały jej te powroty kapryśne zimy i chłodu, które ucinają zielonym trawom głowy i warzą liście młode. Rozwijało się wszystko z szybkością nadzwyczajną, a ludzie korzystali z powrotu ciepła, wybiegając nad brzegi szeroko jeszcze rozlanego Dniepru, aby się cieszyć widokiem wspaniałym wód i młodej zieleni.

Jednego z takich dni Ewaryst też wyszedł do ogrodu, którego stare włoskie orzechy jeszcze same jedne martwe stały na wiosny wołanie. Pod nimi już krzewy pomniejszych pobrały szaty godowe, okryły się liśćmi, zabierały do kwiatu.

W ogrodzie o tej wieczornej godzinie pusto było jakoś, bo znaczniejsza część uczęszczających to gości widowiskiem jakimś cyrkowem a głośném bardzo odciągniętą była. On szukał tu spokoju i ciszy, których potrzebował.

Od poznania Zoni, pomimo że się obraniał myślom ciągle powracającym o niej, obraz tego biednego dziewczęcia wciąż mu do serca zaglądał.

Zajmowała go coraz więcej, już nie jako biedna sierota rzucona w tłum, który dla niej był groźnym, nie jako obłąkana teoryami niebezpiecznymi, od których ją trzeba było ratować, ale jako dziwaczny ideał, do którego się mimo swój woli przywiązał. Sam on nie wiedział co w nim gwałtowne dla niej uczucie obudzić mogło. Wszystko w co wierzyła, co mówiła, raziło go, oburzało, było mu wstrętliwém, ona była mu nad wyraz drogą. Miłość jaką powziął ku niej mogła być czysto zmysłowym urokiem, a nie mniej jednak była potężną i silną. Ewaryst upokorzony nie mógł się jej obronić. Walczył z sobą, unikał spotkań, odpędzał wspomnienia, a zaledwie mu się przesuwała przed oczyma, gwałtowne, namiętne przywiązanie wracało.

Nie ona je podsycala, bo nikt obojętniejszym nie mógł być dla niego nad nią. Próba nawrócenia przez Jewłaszewskiego całkowicie chybiona, odstręczyła Zonię od niego. Patrzała nań z politowaniem, obchodziła się niemal ze wzgardą, pozbywała się go nie mając wstępu. Pomimo to Ewaryst kochał ją coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej, można było powiedzieć.

A miłość ta gotową była do ofiar, szlachetną, czystą, czyniła go nieszczęśliwym i pozbawiała spokoju.

Po owym wieczorze, dni z dziesięć nie pokazywał się Ewaryst, nareszcie musiał pójść po odpowiedź dla Madzi. Zonia przyjęła go zimno, nie było już mowy o nawracaniu, mistrz uznał go niezdolnym i nieusposobionym. Wyrok jego srogi Zonię uczynił nieubłagane chłodną i zobojetnioną.

Wspomniał o liście do siostry, ruszyła ramionami.

— Co ja mogę napisać do niej? odparła, ona mnie tak nie zrozumieć jak ja jej pisma całego, wykrzyków pobożnych, i paplaniny dziecinną nie mogłam zrozumieć. To biedne dziecko skazane na wieczną nicość. Żal mi jej, ale ja na to poradzić nie mogę.

— Jednak, choć kilka słów, jak do siostry! dodał Ewaryst.

— Siostry? cóż to jest siostra? zapytała Zonia. Siostrą mi jest Heljodora, z którą się rozumiemy, jedne mamy myśli i uczucia! ale ta, siostra ze krwi, nieznajoma, obca?

Poprawiła się jednak może dla pozbycia Chorążycy.

— A więc, dobrze, rzekła, odpiszę, odpiszę kilka słów... Przyjdź pan, albo nie, przyślę je panu...

Po krótkiej tej rozmowie upłynęło parę tygodni, a że listu nie było, Ewaryst spotkawszy się z Zonią w ulicy, zbliżył się i zapytał o przyrzeczoną odpowiedź.

Trochę niecierpliwie kazała mu po nią przyjść nazajutrz. To krótkie widzenie się z Zonią rozmarzyło na nowo Chorążycy, gdy nazajutrz przybył i zastał ją samą, był w takim usposobieniu egzaltowanym, że po pierwszych kilku zimnych słowach nie wstrzymał się od wybuchu.

— Chociaż nie chcesz mnie znać ani za krewnego, ani za dobrego przyjaciela i okazujesz mi nie powiem obojętność, ale niemal wzgardę, odezwał się do niej, pozwól bym ja ci się przyznał, że ty we mnie wzbudzasz takie uczucie gorące, taką sympatyą, że ja bez trwogi, bez niepokoju pomyśleć o tobie nie mogę, a nie myśleć o tobie jest mi niepodobieństwem.

Zonia się zmarszczyła.

— Bardzo dziękuję za to uczucie gorące, odparła żywo, ale proszę sobie wyperswadować, ażebym ja na nie kiedy choćby ciepłym odpowiedzię mogła. Stoimy za daleko od siebie. Lecz, zkądże ten niepokój o mnie?

— A! czyż nie usprawiedliwia go twoje położenie? ludzie co cię otaczają! zawołał Ewaryst.

— Ja się w tém położeniu czuję zupełnie bezpieczną, a co się tyczy ludzi otaczających mnie, tych szanuję i kocham.

— Jesteś na drodze... zaczął Ewaryst... Oburzona dziewczyna nie dała mu dokończyć.

— Tak! tak! na drodze zatracenia! zguby! rozśmiała się. A! proszę się mną nie opiekować; wiem gdzie jestem i dokąd idę.

Była, pomimo uśmiechu, zagniewaną.

Chorażycowi łzy wytrysnęły z oczów, pochwycił ją za ręce.

— Zoniu! daruj! nie gniewaj się, zawołał, nikt, nikt na całym świecie lepiej ci nie życzy, więcej cię nie kocha nademnie.

Dziewczę śmiejąc się wyrwało mu ręce.

— Cóż to! czyś się zakochał we mnie? a, toby było zabawném! zawołała wesoło... Boisz się dla mnie urojonych niebezpieczeństw, a sam mi grozisz jakąś miłością... Otóż to są wasze faryzeuszowskie cnoty!

Ewaryst się oburzył.

— Zoniu, krzyknął czerwieniąc się, tak jest, kocham ciebie, kocham szalenie, ale miłość taka jak moja nie jest niebezpieczeństwem a mogłaby być ratunkiem, bo byłaby jawną, uczciwą i wieczną...

Zonia stała jak rażona tém wyznaniem i pomilczawszy trochę, odpowiedziała chłodno.

— Bardzo panu dziękuję, ale, na nieszczęście ja miłości innéj nie znam i znać nie chcę nad miłość prawdy i nauki, ta mi starczy...

Zdawało ci się, sądząc nas z powierzchowności, wnosząc ze swobody jaka u nas panuje, że będę dla niego łatwą zdobyczą. Mylisz się pan!

Ewaryst przerwał jój z tak gwałtowném oburzeniem, że zmusił do milczenia. Chwycił natychmiast za kapelusz i zimno ją pożegnał.

Rozstali się tak jakoś jakby się już widzieć nie mieli. Chorążyc poprzysiągł sobie, że się do niéj nie zbliży. Unikał jój tak dalece, że spostrzegłszy w ulicy, zwracał się w drugą stronę, aby uniknąć spotkania.

Stała się rzecz dziwna, bo raz gdy niespodzianie zeszli się z powracającą z książkami Zonią, sama ona podeszła ku niemu i przemówiła.

— Gniewasz się pan na mnie, niesłusznie. Nie jestem tak zła jak się wam zdaje, nawet trochę serca się znajdzie we mnie... Miałeś czas sobie wyperswadować owę miłość, ale możemy być dobrymi kolegami.

Podawała mu rękę, którą Ewaryst przyjął z wdzięcznością wielką.

Patrzała nań szydersko, ale bez gniewu.

— Żal mi was, żeście się nie dali nawrócić ojcu, miałabym z was dobrego towarzysza, a tak...

Ruszyła ramionami.

— Ja się wam wydaję awanturnicą, a wy mnie, no, powiem po naszymu, faryzeuszem... ale bez gniewu! bez gniewu!

I nie dając Ewarystowi przyjść do słowa, pożegnała go i pobiegła w swoją drogę.

Ta odrobina serca, której dowodem było słów kilka rzuconych po drodze Ewarystowi, na nowo mu zawróciła głowę.

Walczył z sobą, tak pragnął się zbliżyć do niej, pójść, popatrzeć, posłuchać choć głosu, w którego wyrazie niby szyderskim brzmiała stłumiona boleść. Obawiał się, aby nowe widzenie się jeszcze mocniej go nie obalamuciło, nie rozmarzyło bardziej jeszcze.

Chodził smutny, męcząc się i zzymając na siebie. Przechadzka tego dnia była środkiem rozpędzającym, gwałtowny ruch czasem mu myśli wzburzone uspokajał. Tym razem nie była ona skuteczną. Zamiast ukołysać się, myśli jego rozbijały tylko i poczęły latać po świecie. Wyrzucał sobie, że się opierał tym nowym prądom, które dokoła niego biegly z taką siłą, że bliżej nie zapoznał się z tém co tę biedną Zonię zajmowało tak gorąco...

Ze spuszczoną głową siedział tak na ławce w kącie między krzaki zasunięty, pod pnem jednego z ogromnych drzew orzechowych, dzielących go od sąsiedniej ulicy, plecami do niej zwrócony, gdy usłyszał za sobą głosy i chód. Chciał się poruszyć, aby spotkania z kimkolwiek bądź uniknąć, gdy w jednym z nich poznał brzmiały mu zawsze w uszach wspomnieniem, wesoły głosik Zoni, a w drugim zdało mu się, że rozeznawał mowę mistrza. .

Nieprzyjemne wrażenie jakie zespolenie ich czyniło na nim, nie dało mu się ruszyć z miejsca. Pozostał na ławce. Rozmawiający idąc po za nim i po za krzakami. zbliżali się, zatrzymali.

Słyszał jak mistrz zwolna wyrzekł.

— Tu siądźmy!

W żadnym pewno innym razie nie ważyłby się był Ewaryst podsłuchiwać, teraz serce mu biło, uczył się jak przykutym, nie mógł, nie chciał ruszyć. Czuł, że popełniał może występki... dobrowolnie stając się świadkiem rozmowy, która była poufną i nie dla jego uszu przeznaczoną, a nie mógł odejść. Było to nad siły jego.

— Siądźmy, odpowiedziała Zonia wesoło. Widok ztąd przesłiczny.. wiosna, choć to dziecinna rzecz się nią rozczułać, ale zawsze robi jakieś wrażenie...

— Ha! powrót natury do życia po śnie orzeźwiający, dołożył patetycznie Jewłaszewski. Nieuniknionem to, że istoty będące częścią składową tego świata, powołanego ciepłem i światłem do odradzania się, czują każda w sobie to samo pragnienie, łączenia się, grupowania, dobierania wedle instynktu...

To mówiąc, westchnął lekko.

— Jest to, dodał, pora miłostek i miłości, gdy nawet suche wierzby puszczają.

Milczenie trwało chwilę, bo Zonia nie odpowiadała.

— Ja właśnie taką suchą wierzbą jestem, kończył Jewłaszewski, pod której korą spekaną i sękowatą płyną jeszcze życia soki i prądy. Wiosna czyni też na mnie dziwnie wyzywające wrażenie. . Odmładza mnie.

— Wy ojcze na duchu młodymi jesteście i młodszymi od wielu naszych młokosów, odparła Zonia.

— Nietylko na duchu, przerwał żywo Jewłaszewski, czuję się młodym tém co pospolicie a niewła-

ściwie nazywają sercem, a co w istocie zmysłem jest tylko. Gdybyśmy byli w nowo zreformowanym świecie wolnego wyboru według znakomitego systemu Furierra, znalazłaby się może istota, któraby dla mnie poczuła sympatyą, a ja dla niej...

Ewarystowi, który słuchał tych dziwnych zwierzeń poufnych ojca, zrobiło się gorąco, pięść ścisnął. Zonia milczała.

— Tak, moja Zoniu, mówił dalej Mistrz, jest to prawem natury, że się istoty sobie pokrewne i potrzebne łączą parami, dla tego w pewnych szczególniejszych porach ta tęsknota, która w naszym społeczeństwie kunsztownym, wykoszlawionym nie jest ani zrozumianą, ani uwzględnianą.

To wrażenie jakie na tobie czyni wiosna jest pragnieniem zadośćuczynienia prawom natury... Chcesz kochać.

Zonia rozśmiała się, lecz głos jej był jakiś przymuszony i jakby nieszczerzy.

— Mylisz się, ojczu, odparła zimno, serce moje nic nie pragnie oprócz nauki i przez nią opanowania świata. Codziennie narażoną jestem na ocieranie się o młodzież, która mi się podobać stara, żaden z nich nie obudził we mnie uczucia, są mi obojętni.

Dla was, któremu winną jestem światło, mam najwięcej poszanowania, wdzięczności, sympatyj.

Mistrz chwilę milczał.

— Zoniu, zawołał, przysła chwila, gdy ja ci własne twe, dla ciebie niezrozumiałe uczucia wytłumaczyć powinienem. Jest to jasnym, jest to prawem natury, bujna młodość ciągnie ku dopełniającej ją

dojrzałości. Twoje serce należy mi się, bo ja tak samo sercem całym jestem twoim... Kocham się w tobie!

— Żartujesz ze mnie, odparła trochę zmieszana Zonia, moje uczucie dla was jest przywiązaniem dziecięcia, niczém więcéj...

— Bo sama siebie nie znasz, bo się łudzisz, zawołał Jewłaszewski, powinnaś mnie kochać, my jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Ja cię umysłowo wychowałem dla siebie na połowicę swéj duszy...

— Ale, panie Jewłaszewski, zmienionym głosem odezwała się Zonia, ja najlepiej przecieéż znam siebie!! Pan żartujesz sobie! Chodźmy ztąd! Chodźmy!

— Proszę zostać, dał się słyszeć drżący głos Jewłaszewskiego, który zdawał się gniewny i zrozpaczony... Twojém przeznaczeniem jest być moją, moją w całym znaczeniu tego słowa! Bądź co bądź, to się stać musi... Ulegniesz gorącej miłości mojej, będziesz szczęśliwą i mnie uczynisz szczęśliwym...

— Dajże pan pokój i nie mów takich niedorzeczności, głośno poczęła Zonia. Wcale się z powagą nauczyciela i mistrza nie zgadza chcieć zawrócić głowę uczniicy. .

Przyjmuję to jako żart, ale mi przykro, że mogłeś go się dopuścić ze mną.

Tu głos Zoni podniósł się i zaczął być coraz dobitniejszym.

— Masz mnie za dziecko? ja niém nie jestem! Znam siebie bardzo, dobrze, jeżeli się zakocham w kim, o! pewnie na nic w świecie zważać nie będę i oddam mu się nie pytając czy świat pozwoli, czy rozgrzeszy, czy mój ukochany związany czém będzie czy wolny. To prawo natury, bo to prawo serca, ale nie czując

miłości, nie będąc porwaną tym szalem świętym, nie dam się kupić ani mądrością, ani milionami!! nie sprzedam się ani za wieniec laurowy mojego kochanka, ani za tron, gdyby go miał.

Jewłaszewski dyszał gniewnie, słychać było mruczenie jakiegoś niewyraźne.

W tej chwili Zonia krzyknęła głośno i zawołała. Ratujcie! Mistrz pochwyił ją w pól i usiłował ustami dotknąć jej twarzy, dziewczę bronilo się mężnie; lecz nim potrzebowało ręce podnieść na zuchwalca, już Ewaryst skoczywszy przez krzaki, przypadł z tyłu i za kołnierz porwawszy Mistrza szarpnął nim tak, że się potoczył i padł na ziemię.

Zonia, która nie straciła przytomności, spojrzała na leżącego mędrca, usiłującego się podnieść tak jak czasem chrząszcze leżące na grzbiecie przewrócić się siłą, rzuciła okiem na Ewarysta i odskoczyła kilka kroków...

Wyciągnęła rękę ku niemu, odzywając się z krwią zimną.

— Odprowadzisz mnie do domu!

Nie oglądając się na podnoszącego się, nieco potłuczonego upadkiem Jewłaszewskiego, Zonia szła krokiem dosyć szybkim z ogrodu, z początku ani się nawet odzywając do Chorążycy.

Dopiero gdy się nieco oddalili, obejrzała się nań i rzekła.

— Biedny stary, musiał gdzieś za wiele wypić wina, przyszło mu niedorzeczeństwo do głowy... Nigdy się po nim tego nie spodziewała... Wstyd mi za niego i żal... Proszę was nie mówcie o tém nikomu...

— Dla was więcej niż dla niego będę milczał, odparł Ewaryst, ale, kiedym już był tak szczęśliwy, żem w porę przybył na ratunek...

Zonia zaczęła się śmiać.

— Proszę cię, panie Ewaryście, nie wyobrażaj sobie, żeś mnie wyratował, byłabym się sama obroniła temu oszalałemu biedakowi. Kobięta, która potrzebuje obrońców!! nie warta może obrony.

W najgorszym razie, dodała śmiało patrząc w oczy kuzynowi, mam doskonałe zęby, które mi natura niedarmo dała.

Chorażyc słucał smutny.

— Ale, moja Zofio, rzekł, lepiejby było podobno nigdy się nie narażać na to, aby ich potrzebować. Jakżeś mogła...

— Daj mi pokój! rozum potrzeba okupić doświadczeniem, rzekła Zonia. Proszę cię jakżem ja pomyśleć nawet mogła, aby ten człowiek, dla którego rozumu i nauki mam cześć taką, który był dla mnie ojcem duchownym i inicjatorem, miał się podobnego wybryku dopuścić?...

— Mogłaś jeśli nie przewidzieć to, odparł Ewaryst, to z samych tych teoryj dziwacznych, jakie on głosił, wyciągnąć wniosek, iż go żadne prawo nasze społeczne, ani religijne krępować nie będzie...

— Ale powinien go był zdrowy rozum wstrzymać od narzucania mi się z uczuciem, którego ja przecież podzielać nie mogę! odparła Zonia.

— Myślisz, że rozsądek ma jaką władzę nad uczuciami? rzekł Ewaryst. Powinien ją mieć, lecz one przeciwko niemu nieustannie zwycięzki bunt podnoszą.

Szli chwilę w milczeniu.

— Biedny stary, odezwała się Zonia, żal mi go... będzie mi go brakło!

— Spodziewam się, że się nam więcej nie pokaże, dodał Chorążyc, i że wy go nie będziecie widywać.

— Nie wiem, odparła Zonia, jeżeli się wytrzeźwi! Ruszyła ramionami.

— Nie dasz ci to do myślenia, dołożył Chorążyc, że teorye, które do takiej praktyki doprowadzają, niewiele warte być muszą.

Zoni oczy zabłyśły.

— Jesteś niesprawiedliwym, zawołała gorąco, chwila szalu i słabości nie ma nic wspólnego z teoryami. Zwierzę odezwało się na chwilę w mądrym, mamże dla tego pogardzić mądrością?

— A cóż warta mądrość, która nie umie zapamiętać nad człowiekiem co ją wyznaje? dodał Ewaryst.

— Do wypadku tego przywiązujesz zbytnią wagę, spokojnie odpowiedziało dziewczę. Mnie on pewno z raz wytkniętej nie sprowadzi drogi...

Chorążyc spuścił głowę smutnie.

— Wiem, wy się litujecie w duszy nad obłąkaną, dodała, a ja zupełnie tak samo nad tobą, co mi się wydajesz na śmierć duchową wyznaczonym, na życie automatu, któremu za sznurki służyć będą stare przesady, konwencye, przerdzewiałe prawa i strupieszale fanatyzmy...

Z nas dwojga ja jeszcze jestem szczęśliwszą. żyję życiem, gdy ty będziesz się żywił śmiercią...

No, ale dla tego, ty mniemany mój wybawco ze szpon uwodziciela, nie gniewaj się na oszalałą swą,

nazwijmy siostrę, ja ci sprzyjam o tyle, o ile moje serce może komu sprzyjać. Mam trochę słabości dla ciebie, może rodzącęj się z tego, że mi cię serdecznie żal...

Z uśmiechem wdzięcznym zwróciła się ku niemu, Ewaryst zbyt gorąco pochwycił całować jej rączkę.

— O! bardzo proszę, nie naśladować Jewłaszewskiego, zimno, po koleżeńsku się rozstańmy... Sympatyi mojej nie tłómacz pan sobie inaczęj tylko swém kalectwem!

Rozśmiała się.

Byli już w uliczce blizkięj domu Agafi Sałhanowej, Ewaryst doprowadził ją tylko do miejsca, z którego domostwo widać było, ścisnął jej rękę i poszedł.

Wypadek ten dziwny, a więcęj jeszcze rozmowa w drodze z Zonią, przykro mu serce ścisnęły.

Rozstawszy się z nim, dziewczę żwawym krokiem wprost pobiegło do dworku, w którego oknie otwartém na ulicę siedziała z papiérosem w ustach pani Heljodora.

Przywitały się poruszeniem głów i uśmiechem.

— Chodź no do mnie Heldusiu, coś ci mam świetnego do powiedzenia, zawołała Zonia.

W chwilę potém spotkały się w progu pokoju Zoni, która za wchodzącą drzwi zamknęła.

— Miałam awanturę, żywo poczęło dziewczę, zrzucając z głowy kapelusik tyrolski z piórkiem.

— A wanturę! ty! a tom ciekawa, rzekła mrużąc oczy i puszczając dym kłębami wdowa.

— Poszliśmy do ogrodu z ojcem, rozmawiając sobie o tém i owém, ciągnęła Zonia dalęj, pod orze-

chami na ławce, z kąd widok bardzo piękny, siadłam z nim. Stary wydał mi się jakiś dziwny, podrażniony, niespokojny. Ni z tego ni z owego, mówiąc o naturze, wtrącił o miłości, dalej o wielkiej dla mnie sympatii, potem już że się kocha szalenie, a gdym się z niego śmiała i perswadowała mu, pochwycił mnie w pól całować. A! tego już nadto! Szarpnęłam się mu z krzykiem z rąk. Licho tam przyniosło na mój głos Dorohuba, a ten jak go chwycił za kark...

Heljodorze papiéros wypadł z ust, załamala ręce, namarszczyła brwi, twarz jéj dziwnie się wykrzywiła i przybrała wyraz groźny.

— Miałaś czego bo krzyczéć, zawołała, i czego się tak opiérać?

— Jak to! przerwała Zonia.

— No, cóż! zjadłby cię był pocałowawszy! krzyknęła gniewnie gospodyni. Prawdziwie nie rozumiem cię! Byłam pewną, widząc jak się z ojcem obchodzisz, że go rozumiesz oddawna, widocznie miał pasyą do ciebie. Okazywałaś mu się życzliwą, cóż było naturalniejszego nad to by myśleć, że się z sobą porozumiecie...

— Heldusiu! zaśmiała się Zonia, co tobie? Przypatrzyłaś ty mu się kiedy?

— Ja go tak brzydkim nie znajduję, odparła gospodyni, rozum i natchnienie opromieniają go.

— Bierz-że go sobie z jego rozumem i natchnieniem, zawołała Zonia; bo ja go nie chcę.

— Tak, myślisz sobie wybrać jakiego młokosa, który cię skompromituje i uczyni nieszczęśliwą, mówiła Heljodora ciągle z gniewem.

— Ja nie myślę jeszcze o żadnym, śmiejąc się wtrąciła Zonia, daj mi pokój.

— Ty nie myślisz dziś, ale to darmo, natura się o swe prawa upomina, przerwała wdowa, dobywając już cygaretkę. Z nim byłabyś szczęśliwą, a z drugim napytasz łez... Ale, dodała z poruszeniem ramion, co mi do tego, jak sobie kto pościele tak się wyśpi. Przykro mi tylko będzie, jeżeli do nas Jewłaszewski z twojej przyczyny chodzić przestanie.

— I dla tego, abys ty go nie straciła ja miałam paść ofiarą? zapytała gwałtownie Zonia, Heldusiu!

— Ofiarą! ofiarą! szepnęła wdowa, tą ofiarą padniesz sama, niewiedząc kiedy i jak, jak my wszystkie... i nie będziesz z niej miała nawet téj pociechy, żeby się pochwalić takim człowiekiem jak Jewłaszewski...

— Moja Heldusiu — odezwała się Zonia — słuchaj ja mam w tém inne wyobrażenia i zasady. Żal ci Jewłaszewskiego? zawadzam ci w domu? No, to mów, jutro się wybiorę ztąd?

— Co ci to w głowie, rzucając się ku niej i obejmując ją rękami z nagłą czułością wielką, zawołała pani Heljodora. Jesteś jak siarka! wnet buchasz płomieniem... Cóż jabyś poradziła bez ciebie, ja co cię tak kocham! niewdzięcznico!

Po uścisku tym, puściła dym wdówka i ciszej dodała.

— Słuchaj no, spodziewam się, żeś Dorohubowi o tém mówić zakazała? Nie róbże z tego wielkich rzeczy, ja w tém, że my Jewłaszewskiego zagodzimy, i będzie po staremu!

No, cóż wielkiego? co osobliwego? zachciało mu się całusa ładnej dziewczyny! Ludzka rzecz! Ktoby mu to tam za złe miał! Żeby odemnie był chciał pocałunku, dodała ze śmiechem, nie byłabym mu go pożałowała! E! dzieciństwo!!

Na tém skończyła się rozmowa.

Przez kilka tygodni Ewaryst nie spotykał się z kuzynką, nie słyszał nic o niej, nie miał kogo nawet zapytać.

Jewłaszewskiego, o którym myślał, że powinien był nazajutrz po wypadku w ogrodzie miasto opuścić, zobaczył parę razy zdaleka, nie a nie zmienionym i w taką przyodzianego powagę jak zawsze.

Przychodziło mu do głowy, że go wyzwąć może, ale nikt się nie zgłosił.

Jednego dnia na Kreszczatyku, idąc ulicą, Chorążyc nie uważał dobrze na przechodzących około siebie, gdy poczuł, że go ktoś zlekka za rękę pochwycił. Ulica była prawie pustą, przed nim stał Jewłaszewski.

— Słoweczko, odezwał się cichym głosem. Znalazłeś się pan gorączkowo w pewnym wypadku, począł Mistrz, nie zrozumiałwszy co się działo... bo to była próba temperamentu. Studium! rzecz w świecie naj-niewinniejsza!

Mówił seryo, Chorążyc chciał mu przerwać, ale nie dopuścił go do słowa Jewłaszewski.

— Omyłki téj, zresztą zupełnie wytlómaczonéj, ja panu bynajmniej nie mam za złe... kończył Mistrz, pozory były przeciwko mnie, gorąca krew tłómaczy pana. Rzecz uważam za skończoną. Nauka życia jak inne wymaga ofiar, ja i z siebie je chętnie składam na jéj ołtarzu. Wszakże, spodziewam się, że pan będziesz dyskretnym.

— Słuchaj pan, odparł Ewaryst lekceważąco, jak i co było, w to nie wchodzę, zapytaj pan swojego sumienia, jeżeli teorye pańskie dają mu jaką władzę i kompetencyą, nie zamilczałbym może o tém dla niego, ale dla panny Zofii muszę.

Chciał odejść, gdy Jewłaszewski go za rękę przytrzymał.

— Niechże pan wie o tém, dodał, że rzecz między nami została wyjaśnioną, że rozumna niewiasta wytlómaczyła sobie próbę, na jaką ją wystawiłem w interesie nauki...

Chorażyc śmiać się zaczął pogardliwie.

— Czytałeś pan Tartufa? zapytał, pokazuje się, że i nauka ma swych Tartufów!

Żegnam pana!!

I poszedł.

Milczenie było mu nakazanem przez Zonię i w jéj interesie, zachował więc je święcie, unikając wszelkiego zetknięcia się z tym ojcem, dla którego miał największą pogardę.

Wypadek w ogrodzie, o którym tylko Zonia, jéj przyjaciółka i on wiedział, został tém lepiej ukrytym dla wszystkich, że Jewłaszewski nie przestał wcale uczyćszczać na wieczory do pani Heljodory, a na nich

okazywać dla pięknej Zoni tego samego co dawniej ojcowskiego afektu i uwielbień.

Co do niej, była może trochę zimniejszą dla Mistrza, lecz nie przestała ulegać urokowi jego słowa, pociągał ją ku sobie ową mniemaną mądrością swoją, zlepkiem najrozmaitszych zrzyneków i kawałków szychu, z którymi się popisywać umiał wcale zręcznie.

Unikał on ludzi, którzyby z nim ściślejszą, logiczną poprowadzić mogli dyskusyą, a młodzieży starczyły błyskotki, jakimi ich oslepiął.

Nadspodziewanie wszystko zostało w tym stanie jak było, a przynajmniej oczy obcych różnicy dostrzedz nie mogły; nie miały powodu domyślać się niczego.

We dwa dni po spotkaniu w ogrodzie, Jewłaszewski wybrawszy godzinę, w której był pewnym, że się z Zonią nie spotka, przyszedł do oczekującej na niego wdowy.

Agafią Sałhanową zawsze natrętnie pragnącą wtrącić się do każdej rozmowy, wyprawiono pod jakimś pozorem.

— Wiesz moja dobrodziejko co się stało? zaga-
dał Mistrz po wyjściu starszki.

— A wiem! to głupi dzieciak, z tój Zoni! poczę-
ła gorąco wdowa. Ale bo pozwól, ojczulku, powie-
dzić, pospieszyłeś się. Nie radziłeś się mnie, mówi-
łam ciągle, czekaj aż ja ją przygotuję... Otóż masz
skutek niecierpliwości.

— Cóż pani chcesz, moja droga, obie ręce wy-
ciągając przed siebie i ściągając ramiona rzekł Je-
właszewski. Pasya, namiętność! Ja mówiłem sto razy,
musi być jakiś koniec... Była ze mną jak najlepiej,

brałem ją za ręce, obejmowałem, pochylała się na moje ramiona, głowa mi się zawróciła, oszalałem!

Pani Heljodora słuchając rumieniła się nie wiadomo z jakiego powodu, że nie ze wstydu to pewna.

— Mówiłam wam, ojczulku, odezwała się, mówiłam sto razy, cierpliwości, będziesz ją miał. Dziewczę żadnych głupich przesądów już niema, ale mi ją trzeba było dać przygotować... E!! popsuliście sprawę!

— Trzeba naprawić! odezwał się zbliżając do wdowy Jewłaszewski. Mów pani, perswaduj! Jak tam będziesz uważała. Wy kobiety w tych sprawach jesteście mądrzejsze od nas.

— Ja to w części połamam, odpowiedziała Heljodora. Ona się nie gniewa już, ale co dalej? Zdradziłeś się.

— Co dalej? gwałtownie zawołał Jewłaszewski, sierota! bez funduszu... bez opieki. Cóż ona chce? możeż lepiej wyjść jak za mnie?

— Ależ ty się z nią nie możesz ożenić! przerwała wdowa.

— Dla czego? dla czego? wtrącił żywo Mistrz, dla tego, że byłem niegdyś żonaty? Ale nie jestem! nie jestem! To było waryackie ożenienie w wieku takim, gdy człek rozumu nie ma za grosz. Pani nie wiesz? To była, prosta dziewczyna, Kozaczka, tyle tylko, że bardzo piękna. No i cóż? Porzuciłem ja ją i ona mnie, przepadła bez wieści! wiele lat temu? piętnaście! Na świecie jej nie ma, bo by się zgłosiła przecie, choć dla kawałka chleba. I jaki to tam był ślub, w małej wiejskiej cerkiewce, prawie bez świadków, bez metryki. Nie miałem naówczas dwudziestu lat!!

Jewłaszewski chodził prędko po pokoju, rozgoryczkowując się.

— Więc cóż ma stać na przeszkodzie ożenieniu? nic, nic. A już kiedy inaczej nie można i kiedy ona tam będzie tych form wymagała, no, to się ożenie...

Wdowa patrzyła, słuchała, paliła papiérosa i kręciła ustami dziwacznie.

— Ty wiesz ojczulku, rzekła, że ja twoja wielbielka, uczyniłabym dla ciebie co tylko w mój mocy. Wszakże ja ją nie dla czego wzięłam tu do siebie, tylko aby ci ją dać. A no, trudno! strasznie samowolna i uparta. Myślałam, że jęj zawrócisz głowę, że padnie przed tobą plackiem.

— Alboż nie opanowałem jęj ducha? odezwał się Mistrz.

Paramińska ręką machnęła.

— Co to za panowanie! rzekła. Teraz kiedy znowu zgoda nastanie, trzeba podwoić upajającego trunku waszėj mądrości.

Rozsmiała się wdówka i dorzuciła.

— Kiedy nie może się zakochać w twarzy, niech się w geniuszu zakocha. Alboż to takich nie było przykładów?

Jewłaszewski stał jakoś zadumany i jakby wątpiący o sobie.

— Tylko mi pani pomagaj, jakoś tego dokonamy. Rzuć myśl ożenienia. przecież to... coś znaczy nosić imię moje i dzielić losy...

Ostatnie wyrazy, które się nieco dumnymi wydawać mogły, były w oczach wdowy całkiem usprawiedliwione.

Jewłaszewski w istocie miał wpływ i znaczenie ogromne, młodzież cała przepadała za nim i szła pod jego dwuznacznym wielce, bo niewiedzieć dokąd mającym prowadzić sztandarem... Sława tego znakomitego człowieka rozchodziła się przez adeptów po prowincjach, oprócz tego do wzrostu jęj przyczyniały się rzadko, ostrożnie, ale dosyć zręcznie rzucane w piśmie zbiorowych artykuły i broszury, które Jewłaszewski pod jakimś przezroczytym pseudonimem wydawał.

Jako pisarz dał dowody przedziwnego instynktu, obierając sobie formę, która dozwalała mu z myśli pokazywać różki, końce, strzępki, kawałki, nie zmuszając do rozwinięcia ich w pewnym ciągu logicznym, w pewnej całości jawnej.

Jewłaszewski udawał humorystę i dobrze mu z tém było. Humor ma swoje prawa, najprzód wydrapuje się na pewną wyżynę pozorną, z której wygodnie jest sarkać, nie dając się pochwyć, powtóre posługuje się fantazją, dozwalającą omijać miejsca, których się przebrnąć nie spodziewa, naostatek chwytając co napadnie i sieka na bigos najkosztowniejsze ingrediencye z najbrudniejszém śmieciem, i to mu uchodzi.

Za filozofem humorystą kazał się Jewłaszewski dorozumiewać niezmiernie głębokiego myśliciela.

Co przyznać mu potrzeba, mimo wszystkich jego wad i ułomności, był w dobrej wierze. Zdawało mu się, że to co czynił istotnie wiodło do wielkiego celu i że on do téj roboty powołanym był i stworzonym.

Przekonania jego były tak głębokie, iżby się był za nie cierpieć nie wahał.

Gwałtowna miłość dla uczennicy była w nim słabością, którą on sam oplakiwał, lecz tak upartą, że go zmogła. Czuł, że ona mu szkodzić musiała, że do pewnego stopnia poniżała go, dręczył się, lecz nie mógł zwyciężyć.

Wpływ Jewłaszewskiego, o którym mówiliśmy, był tak wielki, iż gdy został zmuszonym użyć go przeciwko Chorążycowi, Ewarystowi natychmiast się to uczuć dało. Potrzebował się go pozbyć, odosobnić go, zmusić aby się przeniósł gdzieindziej.

Nie było innego środka, czuł w nim nieubłaganego nieprzyjaciela...

Wieczorami kółko adeptów jeżeli się nie zbierało u pani Heljodory, lub u którego ze studentów, najczęściej się ściągało do mistrza.

Jewłaszewski zamieszkiwał w jednym z naówczas dosyć jeszcze rzadkich domów murowanych na głównej ulicy, na drugiem piętrze, ciasno, ubogo, skromnie.

Wchodziło w jego program życie jak najbardziej do ludowego zbliżone, więc i przyjęcia były nadzwyczaj proste, a herbata, wódka, sér, słonina, nawet ogórki kwaśne, stanowiły zwykłą przekąskę. Młodzież się schodziła jak kto stał, niektórzy w koszulach włożonych po burłacku, bo i Jewłaszewski w domu zwykle strój ten nosił...

Dwa pokoje z przedpokoikiem stanowiły całe mieszkanie, w którym stoły od siekiery, stołki drewniane, sprzęt chat wieśniaczych, umyślnie był na okaz wystawiony.

Mnóstwo książek porzucanych najdziwniej, bez najmniejszego starania o zachowanie ich stanowiły cechę domu. Na stole, na półkach, na ziemi,

na sofie na kształt tureckiej, walały się powtykane, pozakładane, porozplaszczane dzieła w najrozmaitszych językach. w najróżniejszych przedmiotach, zdające się posługiwać do jakiejś przedsięwziętej pracy.

Siadano na nich, deptano je, zrzucano łokciami, nikt, a gospodarz sam jak najmniej się o nie troszczył.

Trochę śmiesznie wśród nich wydawała się gitara, ulubiony instrument Jewłaszewskiego, towarzyszący mu do piosenek małosuskich, które wyśpiewywał lubił i uchodził w nich za mistrza. Był chlubny z tego talentu, ale się popisował z nim rzadko i tylko w chwilach natchnienia, które mu niekiedy przychodziły tak niespodzianie jak inne fantazyje jego.

Całą służbę Mistrza stanowił jakiś Wańka, wyrostek, który z panem był za pan brat (i to należało do programu). Jewłaszewski utrzymywał, że wychowaniu jego mnogie poświęcał godziny i miał z niego zrobić człowieka co się zowie. Tymczasem był Wańka co się zowie łobuzem i urwisem. Sławnie już pił wódkę, ale w tém Jewłaszewski téż celował i bez niej żyć nie mógł.

Gdy mistrz ów a raczej Bat'ko, bo go tak zwano, w domu się znajdował i z ulicy widać było, że się w oknach świeciło, wchodził do niego kto chciał. W kominie stał wiekuiście kipiący samowar, podawano herbatę, palił każdy co chciał i co z sobą przyniósł, a zakąsywano chlebem, słoniną, ogórkami, rybą jaką lub niewykwintnymi owocami.

Najczęściej przybywający nie zdejmował czapki, a gdy miejsca były pozajmowane, siadał na stole lub na ziemi. Witanie się z gospodarzem nie było obowiązującym.

Jewłaszewski w koszuli legiwał na sofie, otoczony książkami, u boku mając na zawołanie gitarę, wśród gości kręcił się Wańka na stopie zupełnej równości, mieszając do rozmowy, gdy mu się podobało. Brano go też za uszy, gdy się to komu podobało.

Nieograniczona swoboda panowała na tych wieczorach, w ciągu których goście się mieniali i przedmioty rozmowy, Jewłaszewski umiał tak zawsze występować ze słowem, że wywierał wrażenie. Gdy mu to nie było na rękę, milczał i nikt nie był w stanie go na słowo wyciągnąć, gdy nie chciał mówić — śpiewał...

W dniach, gdy mu starzy przyprowadzali nieznanymi, młodych adeptów, występowanie gospodarza było więcej na wrażenie obrachowane, staranniejsze; nigdy jednak zupełnie przyjęte formy się nie zmieniały.

Spierano się często o idee, ale trafiało się mówić i o ludziach; kółko Jewłaszewskiego było dosyć szerokie i liczne, nie obejmowało jednak wszystkiej młodzieży. Stały po za niemi i jednostki odosobnione i inne choć pomniejsze kółka i kółeczka.

Po wypadku w ogrodzie jednego dnia, trafiło się coś mówić o profanach, ktoś wspomniał o Dorohubie, jako o uczniu, który do śmieszności pilność swą posuwał, nie opuszczał żadnej prelekcji, przychodził zawczasu, pisał zapalczywie, wyśmiewano się też z pedanta...

— Gadajcie sobie co chcecie, rzekł niejaki Zyżyński, zawsze taka pracowitość dowodzi małego umysłu, niewielkiej zdolności i trwożliwego ducha...

— A dobrześ go scharakteryzował, odezwał się brzdąkając po gitarze Jewłaszewski, ale niekompletnie. O! ho! jest tam coś więcej!

Czekano, aby wyjawiał tę tajemnicę, ale zaczął podśpiewywać piosenkę i urwał. Siadł przy nim Zyzński.

— Co więcej? zapytał.

— Ciekawys! dodał patrząc na gitarę gospodarz... hm! To, ptasio! Ty wiesz co znaczy, ptasio? A po co on tak pragnął się wśliznąć i podpatrzeć nasze zebranie u Heldusi? A jak to on słucha pilnie... Ktoby powiedział, że ma misyą nastawiać uszy — i (dokończył ciszej) i chodzić z językiem.

Tu brzdąknął z całych sił po strunach jakby własne słowa chciał zagłuszyć...

I począł śpiewać, a gdy śpiewał, słuchano w skupieniu ducha, i nikt nie śmiał mu przerywać. — Zyzński siedział w swém miejscu, aż mistrz skończył dumkę.

— Powiedz ty mnie, szepnął, myślisz że on chodzi z językiem?

Jewłaszewski tylko głową kiwnął. Nazajutrz nawet w innych już kółkach, nie będących w związku z mistrzem i jego uczniami, koso spoglądano na pana Ewarysta.

Nie spostrzegł tego rychło, bo w ogóle do zbyt ku może był bojaźliwym w zawiązywaniu znajomości i robieniu stosunków. Symptomata nieufności jednakże rosły z dniem każdym. Zwolna najlepsi znajomi, pod wpływem jakichś głuchych wieści zaczęli ostrygać, odsuwać się, unikać.

Chorażyc poczuł wreszcie otaczający go chłód, domyślił się może z kąd nim wiało, ale wcale go to nie zdawało się obchodzić.

Samotność nie dolegała mu zbyt w początku, lecz gdy trochę nią znudzony, usiłował z niej wyjść, zaczął się niecierpliwie, dostrzegając, że młodzień stawiła mu się więcej niż obojętnie, bo pogardliwie.

Żądać tłumaczenia nie chciał, nadto był dumnym, wiedział że powinien to przypisywać wpływowi Jewłaszewskiego i możeby mu z placu ustąpił, gdzie indziej się przenosząc, gdyby nie Zonia. Nie chciał i lękał się ją tak opuścić.

Widował ją rzadko, bo do pani Heljodory nie chodził, spotykali się czasem w ulicach, była dlań dosyć uprzejmą, spoufalenie z nim braterskie rosło, ale nic więcej. Ewarysta też miłość nie ostygając weszła, mówiąc językiem kolegów jego medyków, w stadium chroniczne. Było to uczucie bez nadziei a uparte. Zdawało mu się, że czując dla niej przywiązanie, ma zarazem obowiązek, choć zdaleka czuwać nad nią.

Wypadek w ogrodzie był jakby skazówką dlań, że los go jój na obrońcę przeznaczał. Więc choć położenie coraz się stawało przykrzejszém, bo łatwiej jest znieść osamotnienie zupełne niż samotność wśród tłumu, postanowił wytrwać na stanowisku. Zdała patrząc nań niepodobna było nie uczuć szacunku i sympaty dla człowieka, który szedł tak śmiało swoją drogą, z podniesioném czołem, nie dając się podrażnić i nie chcąc wiedzieć ani słyszeć co go otaczało, oddany jedynie pracy. Widząc się wszędzie prawie odepchniętym, Ewaryst skończył na tém, że się usunął

powoli od towarzystwa, które mu najmiłszém było. Zamykał się w swém mieszkaniu, chodził na lekcye, odbywał przechadzki w tę stronę, gdzie się najmniej ludzi spotykać spodziewał, w ulicach unikał zaczepek i stykania się z dawnymi przyjaciółmi, którzy teraz dla niego ostygli i, z czystém sumieniem a dumą jego, z trochę smutku w duszy, został tak na uboczu, nie dając nawet nieprzyjaciółom tój pociechy, by go widzieli cierpiącym.

Musiało to obruszać Jewłaszewskiego i jego towarzyszków; spodziewali się bowiem, że zmuszą Chorążycę do zmiany miejsca pobytu, do wyniesienia się ze studjami gdzieśindziej, a mistrz postrzegłszy, że mu się nie udało nieprzyjaciela odpędzić, chodził zasępiony.

Widok tego świadka sceny dla niego boleśnie pamiętnój, nie dawał Jewłaszewskiemu spoczynku, nie mógł nań patrzeć. Gniewało go i to, że kilka razy mówiąc o nim z Zonią i starając się przed nią go sportwarzyć, przekonał się, iż tego nie dokaże — brała go żywo w obronę.

— Niech ojciec mówi co chce o jego zacofaniu i ślepcie. na to się zgodzę, że biedak obalamucony jest wychowaniem i że daleko nie zajdzie, wszystko to prawdą być może, ale złym on nie jest i natura a serce poczciwe ..

— Z jego faryzeuszowskiemi pryncypiami — odparł mistrz, nawet poczciwym być nie można. Tak! prędziej później zasiane ziarno fałszu kiełkować musi, i zagłuszy nawet dobre popędy. Ja go nie cierpię i ostrzegam. Zonia, nie wiedząc jak ten wstręt ma sobie tłómaczyć, milczała, uśmiechała się. nie sprzeciwiała.

Jewłaszewski rad był, że się przynajmniej z nim spotykać nie potrzebował.

Na list Madzi, Zonia, jak była przyrzekła, odpowiedziała i odpowiedź niezapieczętowaną oddała Ewarystowi.

— Sama nie wiem co tam popisałam, powiedziała mu wręczając ją... Nienawidzę ludzi grzecznych, bo grzeczność prowadzi do fałszu, nie lubię być grzeczną dla nikogo, ale znowu daremnej przykrości siostrze bym zrobić nie chciała. Pan znasz lepiej jak tam do niej pisaćby potrzeba, przeczytaj mój list, jeżeli znośny, to go odeszlij, jeżeli nie do rzeczy to spal — ale ja już innego nie napiszę...

Ewaryst według rozkazu postąpił i list przeczytał. Był on zimny, mało mówiący, ale nie zawierał w sobie rażącego nic. Nie wyzywał do ściślejszych stosunków. Ewaryst postanowił go wysłać, aby złudzenie poczciwój Madzi rozproszyć.

Po odpowiedzi tój długie nastąpiło milczenie, domyślał się Chorążyc jak ona przykre musiała uczynić wrażenie i że Madzia łzami ją może oblała...

Nie napisała już rychło, zrażona, odepchnięta, ale w kilkanaście tygodni przy korespondencyi z domu odebrał znowu list do Zoni..

Nie chciał z nim iść do jój mieszkania, nie wiedział jak go odesłać, i choć zwykle z lekcyi wprost szedł do domu, tego dnia zatrzymał się, oczekując na wyjście Zoni, o której wiedział, że była w sali na odczycie.

Nierychło ukazało się dziewczę, jak zawsze otoczone rojem młodzieży, wśród którego wyglądała jak królowa ze swym dworem. Kochali się w niej niemal

wszyscy, a ta śmiała i excentryczna dziewczyna zawracała głowy szalenie i robiła prozelitów, jakimi najwymowniejszy mędrzec nie mógł się być pochlubić. Nie ma niebezpieczniejszych apostołów nad kobiety. W ich ustach prawda nabiera blasku, a fałsz traci swą potworność. Kunszt uwodzenia nawet bez świadomości jest im wrodzonym. Cóż gdy do wdzięku, do uroku młodości przyłączy się talent, dowcip, umiejętność słowa i zapał, który jest żywiołem zaraźliwym?

Tego dnia Zonia z wesołą twarzyczką wychodziła z lekcyi, a rozmowa głośna, rozpoczęta w progu sali, przedłużała się w ulicy. Młodzież wyzywała ją na słowo, rada głos jej posłyszec. Ewaryst stojący zdaleka nie chciał się połączyć z tym dworem Zoni, przypatrywał mu się tylko, mając zamiar pójść za nią i zbliżyć się gdy pozostanie samą.

Ona nie postrzegła go nawet i, swobodną wiodąc rozmowę dalej, szła, za sobą prowadząc cały szereg wielbicieli. Znał ich wszystkich Ewaryst, z zazdrością zakochanego, prawie mimowolnie ją szpiegował, ale dotąd żadnego szczególnego znaku sympatii dla nikogo nie dopatrył.

Najgłośniejszemi wielbicielami Zoni byli, najprzód sam mistrz, który ją wynosił pod niebiosa i za przykład stawiał kobietom, potem Zyzycki, chłopak gorącego temperamentu, niewielkich zdolności i powierzchnowości nie pociągającej. Miał w sobie coś gburowatego, wyglądał na parobka, a niskie czoło szerokie, z oczyma małemi, głęboko pod niem osadzonemi, wyraz przykry nadawało jego fizyognomii wyzywającej i szermierskiej.

Prześladowano Zyzycznego miłością dla Zoni, której on się nie wypierał, ona wiedziała o niej i śmiała się tylko, nie groziło jej z tej strony żadne niebezpieczeństwo.

Daleko więcj niepokoił Ewarysta młody świeżo, jak się zdawało, nawrócony, jak dziewczę piękny, delikatny, co chwila rumieniący się kolega, Zorjan Szeliga. Był to chłopak majątny, jednak u rodziców, wypieszczone dziecko matki, rozwinięte przedwczesnie, rozgorączkowane już do życia i upojone pierwszymi jego kielichami.

Z domu, w którym czuwano nad nim troskliwie, Zorjan puszczony nagle na swobodę bujał jak młody zrebak, który się wyrwał ze stajenki.

Bardzo piękna, biała twarzyczka, z której jeszcze dziecinna świeżość nie zeszła, otoczona włosami kruczemi, oczy czarne wyraziste, usta kobiecym namaszczone wdziękiem, postawa mająca w sobie także jakiś niewieści urok i coś pieszczotliwego, czyniły Zorzjana ulubieńcem wszystkich pań i panienek. Heljodora zwała go Antinousem i okazywała mu może do zbytku posuniętą życzliwość.

Z pierwszego wejrzenia, od jednej rozmowy z Zonią, Zorjan się w niej zakochał — po dziecinnemu, szalenie. Nie krył się z tém, był jej natrętnym. Z początku i z niego się śmiała. Jewłaszewski zażądał, aby użyła całej przewagi jaką nad nim miała dla pozyskania go gronu, któremu przodował. Chciano mieć bogatego Zorzjana, bo grosz, nawet w propagandzie naukowej, jak w każdej innej, bywa potrzebnym. a nie miano go wiele.

Zoni udało się nietylko nawrócić ładne chłopię, ale z niego uczynić niewolnika. Ewaryst wiedział o tém potroszę, lecz po raz pierwszy teraz, przy wychodzeniu z lekcyi spostrzegł z podziwieniem jakieś spoufalenie Zoni z tym wielbicielem, porozumiewanie się oczyma, obejście się tak, prawie serdeczne, iż krew mu od serca uderzyła do głowy.

Instykt wskazywał w Zorjanie, — już nie przyjaciela pięknej dziewczyny, ale jęj kochanka; Zorjan zajmował przy nięj miejsce pierwsze, o które nikt z nim nawet się spierać nie ważył, zdawał się nie już słuchać jęj, ale jakby trochę jęj swą wolę narzucać, któręj się ona nie sprzeciwiała.

Dotknęło go to tak, że o liście Madzi zapomniał i z sercem zbolałem powlókł się zwolna niewidziany za Zonią. Młodzież, która ją otaczała, powoli rozchodzić się zaczęła, gromadka zmniejszyła się, nareście pozostał tylko Zorjan i ona. Idąc rozmawiali pochyleni ku sobie, jakby zapomniawszy się, że ludzie na nich patrzeć mogą, Szeliga ujął ją pod rękę, nie sprzeciwiała mu się. Zdumiony coraz mocnięj Ewaryst spostrzegł, że para ta zamiast iść wprost do dworku Salhanowęj, udała się najswobodnięj do mieszkania Zorjana, który piękny lokal zajmował dość opodał od pani Heljodory.

Gdy już mieli wchodzić razem, Chorążyc w progu widząc ich, spodziewał się jeszcze, że Zonia się zatrzyma lub zawróci; lecz dziewczę śmiało, nie przerywając rozmowy, w któręj oboje byli zatopieni, znikło we drzwiach kamienicy. Jak skamieniały Ewaryst pozostał w miejscu, rozpacz go ogarnęła. Nie wiedział sam jak długo tu stali, upłynęło może pół godziny,

nim znowu Zorjan i ona wyszli zajęci sobą i skierowali się ku domowi Agafii Sałhanowej.

Dnia tego już listu Madzi nie mógł oddać siostrze, powlókł się do domu.

Nazajutrz ku wieczorowi Zonia chodziła po swoim pokoiku, w dziwném jakiémś usposobieniu: twarzyczka jęj zawsze dosyć wesoła i odbijająca łatwo najmniejsze wrażenie była nie zwyczajnie rozpromieniona i uśmiechniętą szczęściem jakiémś.

Chodziła, oburącz podrzucając gęste swe włosy, bawiąc się niemi, czasem stając przed małym zwierciadełkiem i sama się uśmiechając do siebie.

Roztwarta książka leżała niedbale rzucona na stoliku. Kilka razy dziewczę próbowało ją wziąć w rękę, chciało się zmusić do czytania i rzucało z niecierpliwością.

Stawała zadumana, płynąc gdzieś myślami w te światy marzeń, z których na ziemię do najpiękniejszych rzeczywistości powracać tak trudno ..

Nie widać było najmniejszej troski na jęj twarzy, lecz jakby szczęścia rozpamiętywanie... Chodziła po ubogiej izdebce, zwycięzka, szczęśliwa, pani siebie.

Gdy w korytarzyku kroki się słyszeć dały, znać było, że ten natręt, co jęj miał myśli przerwać złote, gniew w nięj obudził. Z niechęcią i wyrazem nadąsania poszła prędko do drzwi, jakby precz chciała odpędzić tego, co śmiał stawać między nią a jęj marzeniem. Nie pojmowała zuchwalca, co w chwili uroczystej takiego wniebowzięcia, zamącić się ważył jęj sen szczęśliwy.

Otworzyła drzwi gwałtownie i ujrzała w nich stojącego Ewarysta. Chłopak miał postawę tak biędną, pokorną, smutną, iż ją nią rozbroił.

Nie miała okrucieństwa go dobijać.

— A! to wy! zawołała, to wy! proszę!

— Spodziewałaś się kogo innego! odezwał się Chorążyc.

— Nikogo, odparło dziewczę, obracając się ku niemu z powracającym gniewem. Kogóż myślicie?

— Nie wiem, rzekł Ewaryst.

To „nie wiem“ powiedział tak jakoś jak gdyby chciał nie wiedzieć o nikim, a musiał się kogoś domyślać.

Zonia patrzyła nań podejrzliwie, było to złym znakiem, czuła się — winną...

— Mam list od Madzi, odezwał się Ewaryst, dobijając go, dla tego mam się przyjsć tu osmielił.

— A! list znowu od Madzi! zawołała, rączkę wyciągając i chwytając go Zonia. Chorążyc miał czas w tym ruchu jęj żywym dostrzedz, że na palcu miała pierścionek, ona co nigdy żadnych nie nosiła. Był to złoty wąż, którego głowę stanowił duży brylant. Zonia domyśliła się, że pierścień mógł być dostrzeżony i żywo odwróciła świecącą głowę jego do dłoni. Był to drugi zły znak, lecz czyż ich Ewarystowi już więcej potrzeba było??

Z samej twarzy dziewczęcia mógł wyczytać, że w sercu zaszła zmiana. Była to jakby inna istota, jak alabastrowe naczynie, w którym teraz gorejące światło przeświecało je całe.

Nigdy tak bardzo kobietą nie wydała się Chorążycowi, dawniej było w niej coś dziecięcego, chłopię-

cego, studenckiego, teraz czuć było rozbudzoną do życia niewiastę. Różnicy między Zonią dawniejszą a nową nie każdyby dostrzegł może, chociaż była ogromną, stanowiły ją jakby nowe wlane siły, jakby jakieś poczucie własnej doli i świadomość losu. Śmielszą była niż kiedykolwiek, wdzięczniejszą niż dawniej, w ruchach, w mowie przebijała się jeżeli nie zalotność to instynkt, chęć podobania się. Była też samą śmiałą Zonią, a jednak zupełnie inną.

Im dłużej przypatrywał się jej Ewaryst, tém srożej bolał, czuł, że była dla niego straconą, lękał się by zgubioną dla siebie nie była.

— List od Madzi! powtórzyła wzdychając dziewczyna i obracając go w rękach zafrasowana. Na jedną odpowiedź trudno mi się było zebrać, zdaje się, że w niej pomieściłam wszystko już co tylko mogłam do tej biedaczki napisać, czegoż ona może chcieć ode mnie?

Spojrzała na Ewarysta i zobaczyła z jego twarzy, iż jej tę obojętność miał za złe.

Chorażyc milczał.

Zonia list, nie otwierając go, na stół rzuciła; Spojrzała w okno... Po chwili odwróciła się znowu ku niemu.

— Siadajże, proszę, mój wybawco, dodała trochę szydersko...

— Gdybym nim mógł być, szepnął po cichu Ewaryst.

Zonia poczuła w tém jakąś dwuznaczność.

— Od czegoż i od kogo chciałbyś mnie ocalić? spytała.

— Od ciebie samój, począł ośmielając się Chorążyc.

— Zagadka? czyby mi miało od téj szalenicy grozić jakie niebezpieczeństwo? spytała.

Chorążyc odpowiedział wejrzeniem pełném znaczenia.

Zonia wskazała mu sofę nakazująco, musiał usiąść. Stanęła u stołu, przedzielona nim od niego.

— Mów mi kazanie, a bądź wymownym, bo ta Zonia, dodała, to rogata i uparta istota. A więc? co tam ona splotała! słucham.

Pozorna żartobliwość jój mowy kryła źle coraz rosnący niepokój.

— Nie mam najmniejszego prawa, ani ci kazania mówić, ani dawać nauk, rzekł Ewaryst, ale, szczerze moje ciche przywiązanie wytlómaczy natręctwo. Zoniu, powiem ci tylko jedno nazwisko, Zorjan.

Dziewczę zapłonęło szkarłatem. Dotąd patrzyło się w oczy kuzynowi, spuściło źrenice, podniosło ręce i zamysłone poczęło się wpatrywać, machinalnie jakoś, w swój pierścionek.

— Zorjan! powtórzyła. Cóż myślicie o nim i o mnie?

— Zorjan się w tobie kocha, o tém wie cały świat, dodał Ewaryst.

Milczenie dosyć długie przerwało rozmowę, Zonia ciągle wpatrywała się w pierścionek, który obracała na palcu.

— Zorjan się kocha we mnie, powiadasz?... tak? zaczęła powoli. A gdybym ja téż kochała jego? cóż z tego? Czy ja nie mam prawa oddać mojego serca i siebie komu mi się podoba? Jestem zupełnie wolną,

nie nigdy od rodziny nie potrzebowałam, nie od niej wymagać nie będę, ale jój nad sobą przewodzić nie dozwolę. Wolna zupełnie, gdybym kochała Zorjana, cóż dalej, panie Ewaryście? mów!

— Byłoby to nieszczęściem!- zawołał Chorążyc z uczuciem głębokim.

— Mylisz się! przerwała mu z wybuchem jakiegoś zapалу Zonia, mylisz się! A! byłoby to najwyższym szczęściem, byłoby nowém do życia narodzeniem! Miłość, przyznaję teraz, jest uszlachetniającém, wielkim uczuciem... jest tajemniczym węzłem żywota... jest apoteozą...

Porwała książkę, na której miała chwilę rękę opartą i rzuciła ją silnie o stół.

— Kocham Zorjana! zawołała, tak jest, nie omyliłeś się, kocham go miłością dziwną, jakiej może na świecie nie było... Zmienione role, ja jestem kochankiem, on kochanką, kocham go sercem mężczykiem, namiętnością mężczyzny, a on przy mnie jest jakby dziewczką nieśmiałą!!

Panuję nad nim, jest moim...

To wyznanie dziwaczne, które się jój z ust wyrwało, osłupiło Ewarysta. załamał ręce i dłońmi ścisniętymi twarz sobie zakrył.

— Powiesz żem szalona! wybuchnęła Zonia. O! wierz mi, w życiu jakie się nam dostało w udzia e szal jest skarbem. Jam szczęśliwa, żem oszalała!

— Zoniu! na Boga! to istne już szaleństwo. krzyknął przerażony Chorążyc. Jakież następstwa, co za przyszłość! Zorjan jest małoletnim, a przynajmniej pod rodziców władzą, ja znam tę rodzinę. Drobną

szlachta, co się ogromnego dorobiła majątku, nigdy na świecie nie dozwoli na ożenienie...

Zonia wybuchnęła śmiechem...

— Ożenienie! ale ja o wyjściu za niego ani pomyślałam! Ja chcę go kochać, to mi starczy, jestem pewna, że gdyby się ze mną ożenił, toby mi moje szczęście popsulo!

Chorażyc krzyknął ze zgrozy.

— A! wy, świętoszki, faryzeusze... ludzie trupy! zawołała.

— Zoniu, ja mówić z tobą nie mogę nawet, myśli mi łzami zachodzą, przerwał Ewaryst. Szał byłby niczём, ależ ty ślepią tak, że nie widzisz następstw... Ty się zgubisz...

Gwałtowne choć krótkie wybuchy Chorażycy zdały się w końcu działać na dziewczę.

— Mój panie Ewaryście, odezwała się zimniej trochę. Powtarzam ci, że ja mam prawo zgubić się w taki sposób jak mi się podoba... Kocham Zorjana i czuję, że on mnie kocha.

— To dziecko! przerwał Chorażyc gwałtownie. Nie wątpię, że cię kocha dziś i szaleje, ale to jest namiętność młoda, to ogień słomiany, który jutro zapłonie tak samo dla innój.

Zonia podniosła oczy i ruszyła ramionami.

— [Któż kochając myśli o jutrze?] Jutro! a! mój Boże! ono do nas nie należy...

I odeszła od stołu, za którym siedział Ewaryst, przybity już do ostatka i zrozpaczony...

Nierychło mógł się on zebrać na ostyglejszą odpowiedź.

— My w istocie, moja Zoniu, stojemy pojęciami tak daleko, że się nam niepodobna zrozumieć. Nie wiem nawet czy wierzysz w tego Boga co ja, a z pewnością lekceważysz te jego prawa, które ja za święte uważam... Nie chcę mówić o tém, co nakazuje nam wiara, abym nie wywołał z ciebie bluźnierstwa. Lecz, oprócz Bożych, są prawa ludzkie, obowiązujące, są przepisy życia, od których pod grozą kary uwolnić się nie można, jest społeczność i opinia potępiająca... Choćbyś nie chciała jesteś częścią tego społeczeństwa i prawom jego ulegasz, nie żyjcie na pustyni...

Zonia zwróciła się głową ku niemu, idąc sama ku oknu.

— Właśnie przeciwko okowom jakie ta strupieszła społeczność wkłada na nas, my chcemy walczyć. Tu nie dosyć słowa, trzeba czynów. Jeśli chcesz, moja miłość jawna, którą wy nazwiecie bezwstydną, jest taką protestacją.

— W tej chwili ty jesteś hypokrytą, przerwał Ewaryst z pół uśmiechem gorzkim, namietność twoją chcesz pokryć płaszczem teorii... To fałsz!

Zonia zarumieniła się mocno.

— Może masz słusność! odparła dumnie. Kto ma skarb, ten go broni, nawet z ołtarza chwytając co napadnie...

Wyznanie to, nieco upokorzonym tonem wypowiedziane, przejęło litością Ewarysta, porwał się z miejsca i padł przed nią na kolana.

— Zoniu! zaklinam cię! nie gub się!! krzyknął.

Brwi pięknemu dziewczęciu ściągnęły się groźnie...

— Mogłabym się obrazić tym twoim strachem, przerwała. Nie rozumiem jak ty sobie wyobrażasz mi-

łość, chyba rozpustą obrzydliwą. Krzywdzisz mnie! i jego... Miłość Zorjana dla mnie jest tak piękną, szlachetną, czystą jak moja dla niego. Kochamy się dwiema duszami bratniemi... Ewaryście.

Rumieniec wybiegł jój na twarz i nie dokończyła.

— Wierzę w to co mówisz, rzekł Chorążyc. Chcę nawet wierzyć, iż w téj miłości idealnej oboje wytrwacie, choć ona z waszemi teoryjami się nie godzi.

Nowy rumieniec oblał twarzyczkę Zoni, która żywo odwróciła się od niego.

— Ja mogę temu uwierzyć, kończył Chorążyc, ale świat, ale ludzie co powiedzą, widząc cię chodzącą do niego.

— Alboż ja się z tém kryję? spytała Zonia.

— Ludzie to wezmą za cynizm! dodał Ewaryst.

— Niech biorą za co chcą, spokojnie ze wzgardą jakąś odezwała się Zonia, co to mnie obchodzi? Ja dla ludzi nie poświęcę ani jednej minuty mojego szczęścia.

Odpowiedź zamarła na ustach Chorążycy; zrozpaczony odstąpił od niej. Nie było już sposobu ani mówić z nią, ani chcieć ją przekonać. Dwoista siła czyniła tę miłość niezwykłą, jój własna poparta teoryjami swobody nieograniczonej, które jój wpojono. Przewrócona głowa dziewczęcia dopomagała rozpłomienionemu sercu.

Chorążyc stał jeszcze czas jakiś milczący, patrząc w ziemię, wziął kapelusz, skłonił się jój zdaleka i wyszedł powoli. Nie zatrzymywała go wcale.

W bramie gdy już na ulicę wychodził, nie oglądając się nawet, uczuł się za rękę chwyconym. Stara

Agafia Sałhanowa z tajemniczą miną, dając mu jakieś znaki, szeptała prędko.

— Heljodora Iwanowna, panicznyku, Heljodora Iwanowna, na miłość Bożą prosi was na chwilę rozmowy do swojego pokoju. Chodźcie koniecznie.

I pochwyciwszy go za rękaw starucha, ciągnęła jakby się lękała, aby jój ofiara się nie wysliznęła.

Powtarzała ciągle.

— Heljodora Iwanowna!

Ewaryst, nie rozumiejąc po co do niej miał iść i mając to wezwanie za omyłkę, opierał się nieco.

— Mylicie się może, ja tak jak nie znam Heljodory Iwanownej, rzekł do starój.

— Nie mylę się, nie mylę, wiem pewnie, wracacie od krównój waszój; od Zonki, chodźcie na słowo!

Pociągnęła go za sobą ku domowi i przez inny ciemny korytarzyk ku drzwiom, które się natychmiast otworzyły.

Stała w nich pani Heljodora, tym razem bez papiérosa, niecierpliwa, podrażniona i ledwie wpuściwszy gościa do swojego gabinetu, zamknęła za nim drzwi na rygiel.

Pokoik niewielki był obrazem życia kobiety, która w nim mieszkała. Największy nieład panował w tym niby eleganckim buduarze. Elegancya była chwilową i już należała do przeszłości, nieład stanowił teraźniejszość całą. Stroiki, tytuń, papierosy, książki, cacka, listy, świstki i okrawki wstążek, ryciny na walcach i materye w sztukach, zaczęte roboty kobiécie i zawalane seksterna, rozsypane pieniądze i gałganki pomięte, tak zajmowały wszystkie miejsca, iż usiąść prawie nie było gdzie. Ani téż pani Heljo-

dora zapraszała gościa, stanęła przed nim. załamała ręce poplamione atramentem i położyła od dymu papierosów, wołając:

— Pan wiesz! pan wiesz! co ona najlepszego robi! Sobie i mnie naprowadzi biedy! Wodzą się z sobą po całych dniach, bywa u niego, jak mamę kocham. Mówiłam jój, niech choć nie tak jawnie... ani chce słuchać.

Chorążyc miał czas zebrać myśli.

— Pani dobrodziejko, odezwał się, wiem o tém trochę, ale, pozwól mi powiedzieć sobie, że téj pogardzie opinii i téj emancypacyi Zoni winny z pewnością nauki przez mistrza wygłaszane. Były one dla niój przygotowaniem do życia i jego prawideł. Sieliście ziarno, które schodzi.

Śmiałe to obwinienie jakby wodą zimną oblało panią Heliodorę, oburzyła się.

— Ja nic nie mam przeciwko wolnemu rozporządzeniu sercem, rzekła jākając się nieco. Co ojciec głosi to wszystko prawda. Dosyć mieliśmy tyranii męzkiej, kobiéta powinna być wolną. Tak, jak mamę kocham, ale żyjemy wśród świata skołowaciałego, my, nas odrobina, trzeba mieć pewną wiarę.

Ja panu wprost powiem, że to się skończy awanturą. Rodzice tego chłopca lada dzień się dowiedzą, a to są ludzie dumni, żenić mu się nie dadzą, rozdzielą ich, i ona będzie najnieszczęśliwsza.

— Ona mu ufa! przerwał Ewaryst. Heljodora porywczó się odezwała uśmiechając.

— Jemu ma ufać! otóż to nieszczęście, to chłopiec rozpieszczony, zepsuty przed czasem, rozpustnik... Zaraz po przyjeździe do Kijowa, świadkiem stara

Agafia, zakochał się był tak samo w córce gospodyni, u której stał.. za co potem przyplącił, jak mamę kocham, i ledwie się odkaraskał od niej. Wydali ją za jakiegoś kancelistę. Słyszę jeszcze i teraz się do niej włóczy, jak mamę kocham. A ja wiem najlepiej bo, słowo daję, że i do mnie się wdzięczył, ale jak!! A ona biedaczka te jego amory bierze za dobrą monetę...

Rzuciła się pani Heljodora gwałtownie...

— Potem na mnie powiedzą, że z mojej przyczyny...

Tu zatrzymała się trochę; na wpół sama do siebie, zadumana mówić poczęła.

— Co innego jej radziłam i słowo daję. byłabym to doprowadziła do skutku. Jewłaszewski się chciał z nią ożenić, jak mamę kocham.

Proszę pana, dodała z głębokim przekonaniem, potem niechby się była wyszedłszy za męża kochała jak chciała, niktby jej słowa nie powiedział.

— Nawet mąż? wtrącił Ewaryst. Wdowa się uśmiechnęła szydersko.

— Albo to mąż ma wszystko wiedzieć? dodała przez zęby.

Chorążycy już niecierpliwiło, że go tu nadaremnie zatrzymywano.

— Zdaje mi się, rzekł, że jeśli kto to pani i ten pan Jewłaszewski, który tu ma taką powagę, może cie pannę Zofią powstrzymać i skłonić ją.

— Ale kiedy się szalenie zakochała! przerwała Heljodora.

— Tak, szalenie — zakończył Ewaryst, kłaniając się na pożegnanie, lecz szalom tym nie ona sama jest winną.

Chciał już odchodzić, gdy podbiegłszy ku niemu zatrzymała go gospodyni.

— Prawdziwie panu powiadam, że ja zupełnie głowę tracę, poczęła. Myślałam, pan do rodziny należysz, abyście potem nie mówili, że ja przyczyną. Ja umyvam ręce! ona mnie słuchać nie chce.

Spojrzała na Chorążycę, który stał nie chcąc już dłużej przeciągać rozmowy.

— Więc widzi pan, dodała, ja przed nim nie taję, to się skończy katastrofą, ja winną nie będę, jak mamę kocham.

Widząc, że Chorążycę nie otwiera już ust. Heljodora pomogła mu drzwi odryglować i szepnęła na wychodnym.

— Jak dwa a dwa cztery, zobaczy pan — awantura gotowa. Chłopiec zepsuty, choć tak się wydaje jakby go dopiero z pieluszek rozwinęli, a ona jak warjotka.

Chorążycę ogłuszony, zmęczony, wyszedł z dworku Agafii, nie umiając znaleźć drogi. Co miał począć? mógł li co poczynać?? nie wiedział sam.

Ciągnąc powoli do domu wpadł na myśl, która mu się zdawała jakąś słabiutką nadzieją, jeśli nie ocalenia Zoni, to przynajmniej lepszego ocenienia niebezpieczeństwa, na jakie była wystawiona.

Zorjana Szeligę, w pierwszych miesiącach po jego przybyciu, gdy jeszcze nie był nawrócony i wciągnięty w kółko reformatorów, poznał był Ewaryst, był nawet parę razy u niego i młode chłopię przy-

Ignęło z razu do poważnego i przyzwoitego Chorażycy, nawykłóm będąc do lepszego towarzystwa. Później chociaż Zorjan zdawał się go unikać, zachowywał się jednak przez grzeczność jakby dobry znajomy. Witali się z sobą, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

Mało go znał Chorażyc, a z tego co widział i słyszał wyobrażał sobie dosyć płochym, dziecinnym, wielce namiętym, a nie bardzo odważnym. Na charakter młokosa w istocie mało rachować było można. Zapragnął zbliżyć się znowu do niego.

Nie było to łatwóm. Towarzystwo otaczające bogatego jedynaka zupełnie się teraz zmieniło, królowali tu ojciec i jego synowie z ducha, co było najzgorzalszego i co najgorszém okiem patrzyło na Chorażycę. Nie mógł on wciskać się pomiędzy adeptów, aby nie wywołać jakiegoś nieprzyjemnego zajścia.

Nazajutrz jednak, nie odkładając, pod pozorem książki jakiej, którą był dawniej pożyczył Zorjanowi, poszedł do niego w godzinie rannój, w którój się nikogo spotkać nie spodziewał.

Na kwaterę akademicką, mieszkanie Szeligi było niezwyczajnie wspaniałóm. Młody panicz trzymał lokaja w liberyi, miał salon, kilka pokojów i cały komfort, jaki zwykle tylko starszych otacza, ulubieniec matki, pieścioszek nawykły do wygod zawczasu już czynił z nich życia warunek.

Ewaryst zastał go jeszcze w łóżku, pijącego kawę, którą mu z całą elegancją zamożnego domu podano. Więcej było koło niego przyborów toaletowych i fraszek, niż papierów i książek. Nauka była tu gościem, po którym ślady zacierano.

Z wielką uprzejmością posuniętą do przesady przyjął dawnego znajomego Zorjan, przeprasząc za to, że w łóżku go zastał.

— Jestem trochę niezdrów! dodał zakłopotany.

Pierwszą rzeczą, która wpadła w oczy Chorążycowi, była na stoliczku przy łóżku w aksamit oprawna za szkłem fotografia, w której na pierwszy rzut oka poznał Zonię. Kazała się ona była fotografować z książkami pod pachą, w męzkim kapelusiku, i obrazek ten uderzający oryginalnością znanym był powszechnie. Zorjan, nie dostrzegłszy, że Ewaryst miał czas nań spojrzeć, dosyć zręcznie natychmiast go przysłonił.

Służba wyszła. Korzystając z poufałości koleżeńskiej, Chorążyc umyślnie zwrócił uwagę na obrazek.

— Pokaż że mi jaką to piękność ukrywasz przedemną tak starannie, zawołał chwytając fotografią, którą Zorjan próżno mu wyrwać usiłował.

— A! to moja kuzynka! rzekł stawiając napowrót obrazek Ewaryst.

Szeliga zarumieniony leżał milczący, zmieszany bardzo.

— Kuzynka! powtórzył — kuzynka!

— Tak jest — dodał Chorążyc, siostra jej wychowuje się przy moich rodzicach! Wszyscy mówią, ciągnął dalej o ile mógł najspokojniej, że wy się szalenie kochacie w Zoni! Bardzo temu wierzę, bo jest i śliczna i pełna życia a zdolności, choć główkę ma trochę przewróconą.

Zorjan słuchał pilnie, zwolna przychodząc do siebie.

— No, kochać się trudno zabronić, dodał zwolna Ewaryst, lecz, jako życzliwy ci przyjaciel, radziłbym być — ostrożnym. Wątpię, aby rodzice wasi pozwolili się żenić, a z familią moją biedną kuzynki moglibyście mieć nieprzyjemności...

— Ale, proszę cię—wtrącił Szeliga, proszę cię, cóż? za co? wszyscy niemal akademicy kochają się w pannie Zofii.

— A ja też kochać się nie zabraniam — dodał Chorążyc, tylko po przyjacielsku zwracam uwagę, że to szlacheckie dziecię, dobrego domu, choć ubogie, i nie bez związków.

Szeliga widocznie pomieszany pił kawę tak niezręcznie, że mu się na poduszkę wylewała.

— Bardzo dziękuję, wybąknął. Przecie kochanie się nikomu krzywdy nie czyni!

Zaczął się śmiać, lecz śmiech był wymuszony i kwaśny.

Chorążyc nie podnosił już drażliwej sprawy, począł chwalić mieszkanie, mówić o lekcjach, o pogodzie, o swojej księżce i udając wesołego, wkrótce pożegnał Zorjana, który po wyjściu jego leżał długo zadumany na pościeli.

Upłynęło dni parę, — a biedny Chorążyc usiłował się uspokoić, chociaż smutny był w duszy i nie widział ratunku dla zdziczałej Zoni. Traf zrządził, że się z nią nie spotykał i z lekcyj wychodzącej widać jej nie było. Ciekawość go brała przekonać się czy też kroki jakie przedsiębrał przydały się na co, o tém nie miał sposobu się przekonać, chodzić na zwiady do niesmacznej, roztrzepanej i napastliwej pani Heljodory nie miał ochoty.

Właśnie gdy myślał o tém jakby się mógł dowiedzieć nieznacznie o Zonię, spotkał ją w ulicy samą jedną. Szła z książkami pod ręką, z głową spuszczoną, nasepiona, blada i cierpiąca. bo twarz jej zdradzała boleść jakąś. Nie widziała nadchodzącego Ewarysta, który sam narzucać się jej nie chciał.

Była jednak tak biedną i tak mu się jej żal zrobiło, że się przybliżył. Zamysłone dziewczę podniosło głowę przestraszone, drgnęło i nierychło zdało się rozpoznać kuzyna.

— Nie jesteś chora? zapytał Ewaryst.

— Ja? chora? dla czegoż to? odparła chmurno patrząc na niego. Chorą może jestem, ale na duszy. a na takie choroby sam każdy sobie musi być lekarzem.

— Nic przecie nie zaszło! szepnął Ewaryst.

— Ale dla czegoż się tak troszczysz o mnie? niechętnie zawołała Zonia. Prawdziwie, że czasem przywiązanie czy jak tam się to nazywa więcej dokućzy niż prześladowanie i staje się jednem z najnudniejszych.

Posłyszawszy to Ewaryst, skłonił się i chciał odejść, oczy jej błysnęły, popatrzała na milczącego i cierpliwie znoszącego jej niegrzeczność—dodając.

— Ciekawy jesteś! prawda? co mi jest. Ostatnią razą widziałeś mnie tak szczęśliwą! Cóż robić, życie jak rzeka toczy się to czystymi kryształowemi wody, to niosąc z sobą brudy i śmiecia.

Mówiła powoli, idąc ze spuszczonemi w ziemię oczyma, na wpół sama do siebie, pół do tego powiernika zawojowanego, na którego mało zważała.

— Ludzie są jak psy, ciągnęła dalej, co gdy widzą, że jeden z nich smaczną kość ogryza, jeżeli mu jęj odebrać nie mogą, to choć przeszkadzaćby radzi, choć powalać ją .. Wszystkim zawadza to, że ja kocham kogoś, że jestem kochaną i że mi z tém było dobrze. Zatruli mi już moje szczęście, — powalali ..

Rzuciła okiem na słuchającego Ewarysta.

— Co o mnie mówią jemu, tego nie wiem. ale przedemną oplwali biednego chłopca, aby mi go obrzydzić, zrobili go rozpustnikiem, powywlekali historie jakieś brudne o nim..

Słyszałeś i ty pewnie?

Ewaryst głową potrząsł.

— Cóż mi tam? Przeszłość to rzecz zapomniana, utopiona. Co dziwnego, że kochając serca znajdował plugawe? Nie miał doświadczenia, nie znał ludzi... Napił się może z kałuży! ale co mi tam...

— Nie śmiem ci powiedzieć moja Zofio, odparł, idący za nią Chorążyc, że i ty możesz być w tym przypadku. Ja ci go obrzydzać nie chcę, ale nie znajduję, aby był godnym téj wielkiej miłości, którą masz dla niego.

— Dla czego? zapytała Zonia.

— Bo ani umysłem, ani sercem nie dorósł ciębie, rzekł Chorążyc Znam go, jest to płochy chłopak, w którym serce bije na chwilę mocno, ale oprócz uczucia, w którego rozbiór ja wchodzić nie myślę, nie ma tam nic!

— Alboż się kocha dla czegoś i za coś? odparła Zonia, kocha się, bo się musi, widzi się głupotę własną, i to nic nie pomaga...

Powiedziała to smutno, Ewarysta pocieszyło niemal jej strapienie, było ono znakiem jakiegoś rozmysłu, przepowiednią zwrotu. Sam smutek mówił już wiele... Wahała się, a miłość, która się waha, blizką jest ostygnięcia. Sądził, że najlepiej ją będzie zostawić samą sobie. Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków aż ku dworkowi Sałhanowej, w milczeniu małoznaczącymi przerywanem pół słówkami, u wrót jego prawie pożegnał się z Zonią, która doszedłszy już tu, po rozstaniu z nim, zadumała się u wnijscia długo, papiéro-sy swe i książki oddała stojącej tu starzej Agafii, a sama poszła żywo w drugą stronę. Ewaryst byłby przy-siągł, że szukała tego nieszczęśliwego Zorjana, o którym myślała ciągle.

Naprzeciwko mieszkania zajmowanego przez Mistrza, był dom oddawna już nie najmowany, chociaż gospodarz, bogaty kupiec, świeżo go kazał odświeżyć, pomalować i starą a dosyć niepokaźną budowę uczynił wygodniejszą niż była za młodu. Obyczajem wszystkich właścicieli Jefrem Wasyljew obrachował sobie poniesione na restauracyą wydatki i wymagania jego tak były przesadzone, że długo nikt się do mieszkania na pierwszym i jedynem piętrze nie zgłaszał. Dół zajmował Wasyljew z liczną rodziną, a że był zamożnym i rachować umiał dobrze, wolał pustką widzieć kamieniczkę, niżeli ją tanim najmem skompromitować.

Jednego dnia przecież goście Jewłaszewskiego, którzy często przez okna wyglądali, dostrzegli, że naprzeciw zawieszono firanki i pewien ruch dał się widzieć u Wasyljewa.

— Otóż Jefrem przecie znalazł kogoś co mu dał ile zaśpiewał! odezwał się jeden z akademików, spoglądając naprzeciwko.

Jewłaszewski, który o prozaicznych przedmiotach, o życiu powszedniem i drobnostkach jego nierad

był mówić, bo dla nich największą okazywał pogardę, tym razem mruknął.

— Mówili, że tam jakaś jéjmość, bogata wdowa z Moskwy, czy nie wiem zkąd przybyła, dała się Jefremowi obalamucić.

— Bogata! wdowa! przerwał śmiejąc się Zyżycki, a! w to nam graj! może jeszcze młoda i przystojna! ho! ho!

Mistrz ruszył podardliwie ramionami, niewiele go to zdawało się obchodzić.

Ciekawa młodzież mając z okien mistrza tak doskonale stanowisko do obserwacyi a wiedząc, że za firankami kryła się istota płci żeńskiej, o której fama chodziła, że jest wyposażoną obficie, nie zchodziła prawie z czatów.

Zyżycki, który był próżniak i lubił się lada czém rozrywać, szczególniejszą zwrócił bacność na lokatorkę Jefrema Wasyljewa. Niedosyć mu było czatować w oknie, przypatrywać się z ulicy azali czego nie ujrzy dającego wnioskować, czy gra warta była świeczki, poszedł do Wasyljewa, u którego brał herbatę i sardynki i miał z nim pewien rodzaj znajomości.

Jefrem był opasły, na pozór dobroduszny, śmiejący się, połyskujący z dobrego bytu, rumiany jak burak człowieczyzna, który powszednim ludziom mógł się wydawać niezmiernie prostym burłakiem, ale w istocie był najprzebieglejszym z ludzi.

Niewiele widząc i umiejąc, bo był wychowañcem natury i własnej pracy, Wasyljew miał ten przedziwny instykt ludzi zmuszonych żyć w społeczeństwie nad nich wykształconszém, obawiał się wszystkich,

nie ufał nikomu, uważał w ogóle świat za nieprzyjaciela i chytrył...

Dosyć było od niego zażądać się czegoś dowiedzieć, aby obudzić jego podejrzenie. Nikt nigdy nie dobył nic z niego, ale nie dał poznać po sobie tej przebiegłości, owszem udawał prawdomówcę i prostaka. Każdy odchodził od niego pewien, że dobył z Jefrema co chciał, on potem śmiał się w kułak za odchodzącym.

Zyżycki zagadał naprzód o ćwierci funta herbaty, której miał potrzebować, potem o ostatniem pudełku sardynek, jakie ztąd wyniósł, nareszcie dodał.

— A no, powinszować kupcowi, wszak to pierwsze piętro najętel!...

Wasyłjew się w kark poskrobał i ręką machnął.

— Cóż! dobrze? spytał Zyżycki.

— A! co za dobrze! z biedy! trzeba było... Co robić, zamruczał Jefrem.

— A komuż najęliście?

Jefrem ramionami poruszył.

— Albo ja wiem! odparł obojętnie.

Zyżycki dorzucił.

— Urzędnikowi? co?

— I! nie... jakaś baba...

Niechętnie mówił!

— Stara, młoda? z dziećmi? pytał akademik.

Ciekawość ta i chęć mięszania się w cudze sprawy nie podobała się kupcowi, zagadał coś żywo do przykaszczyka, nie dosłyszał niby pytania. Zyżycki stał na próżno, odpowiedzi nie było.

Jefrem niby o niéj zapomniał. Powtarzać pytania nie wypadało, kupiec ręce włożył w aksamitne

szarawary i stał patrząc w świat, jakby o lokatorce mowy nigdy nie było.

Tymczasem złożyło się, że ta, o którą właśnie dopytywał ciekawy młodzieniec, wracając z miasta wchodziła do kamienicy, Wasyljew nie mógł jęj nie powitać i nie uklonić się, a Zyżycki nie mógł nie domyśleć się kto była, bo weszła wprost do tego domu.

A że szła powoli, rozpatrując się, Zyżycki doskonale się jęj przypatrzył.

Wiek trudno mu było odgadnąć, gdyż jęjmość widocznie była odświeżoną, pomalowaną dosyć jaskrawo. ale, choć z pozoru nadawało jęj to wielką świeżość i blask, budziło podejrzenia. Rysy twarzyczki nadzwyczaj regularne, niegdyś musiały być bardzo piękne, były niemi jeszcze. szczególnież oczy czarne i usteczka bardzo maleńkie.

Chód, ubranie, pewna wymuszoność w całej postawie. ruchach, uśmiechach, zdawały się w tęg panichętką okazania się daleko dystyngowańszą niż w istocie była. Mówiła coś, że mogła być prostą bardzo kobieciną, której los a raczej piękność dały niespodziane stanowisko w świecie, kłopotliwe i utrudzające. Można było przysiędz, że ta sztywna jęjmość, zrzuciwszy bardzo wytworne stroje, nierównie by się czuła swobodniejszą i szczęśliwszą.

Oczy jęj biegały bojaźliwie, jakby się ciągle czegoś lękała... Ubiór jęj grzeszył jaskrawością, błyskotkami i brakiem smaku, ale był za to kosztowny i obrachowany tak, aby się nim wydawał. Przechodząc panichę rzuciła trwożliwém okiem na studenta, uśmiechnęła się kupcowi i wbiegła co najprędzję do domu, jakby jęj pilno ukryć się było.

— E! e! panie Wasyljew, wasza lokatorka — krasawica! zawołał Zyżycki.

Jefrem ruszył ramionami.

— A cóż? nie?

— Alboż mówię, nie? odparł kupiec. A! no! krasawica!

— Wdowa czy zamężna? zapytał akademik.

— Ej! ej! począł kupiec, albo to do mnie należy! Co ja miałem o to pytać!!

Ponieważ widocznie unikający dłuższej rozprawy w tym przedmiocie Wasyljew zwrócił się z wymówkami do prykaszczyka, Zyżycki był zmuszony ze szczupłą odciągnąć zdobyczą. Zaniósł tego dnia na górę wiadomość, że wdowa czy też Bóg ją wie kto była kobietą niestara i wcale jeszcze nieszpeta.

Z okna dało się wyszpiegować, że dzieci u niej nie było, pokazywała się stara służąca z głową chustką zawiązaną, młoda służąca bez chustki, obie mocno brzydkie, i chłopiec ubrany czysto, ale nie wytwornie; wdowa, bo wszyscy byli pewni, że nią była, nie unikała zbytecznie okazywania się w oknie. I owszem wychylała się niby dla spoglądania na ulicę, a można było posądzić, że też trochę dla pokazania się, ciągle bardzo wystrojona i obwieszona klejnotami. Czasem przechadzała się tak wewnątrz domu, że ją mogli ciekawo postrzegacze oglądać. Nie zdawała się mieć żadnego zajęcia, a włóczkowa robota, którą czasem trzymała w rękę, była jakby dla okazu chwyconą, nie siadywała nad nią.

Jakim sposobem owa obca zupełnie tu lokatorka znalazła znajomych, nikt nie wiedział. Zaczęli tu powoli jakoś ucześnieć urzędnicy, biurokracya, mie-

szczenie, ludzie średniego stanu. Widywano ich tam wieczorami pijących herbatę, przechadzających się, grających wista, przyjmowanych wieczszą.

Z drugiego piętra do Jewłaszewskiego wzrok łatwo w głąb' sięgał na pierwsze i, jeżeli story nie były pozapuszczane, salon nieznałomój był jak na dłoni.

Jewłaszewski jakoś właśnie o tym czasie, nie wiadomo z jakiego powodu, zrobił się zamysłony, smutny i niespokojny.

Stał się nierównie nawet obojętniejszym w propagandzie swoich idei. Był jakby chory i znużony, gitara spoczywała, piosunki od niego nie można było posłyszeć. Mniej daleko niż dawniej uczęszczał do pani Heljodory na herbaty, częściej się zasiadywał w domu. Ci, co go znali dawniej i widywali w przystępach twórczości, utrzymywali, że musiał nad nowym dziełem pracować. Pytany o to nawiasowo Wańka, ruszał ramionami, śmiał się i mówił.

— E! kudyż!

Drudzy, uczniowie medycyny, wnosili z żółtej cery, iż cierpiał na wątrobę i to go po troszę czyniło tetrykiem.

Heljodora, której był potrzebnym dla nadania powagi jej salonikowi, a może i jej samój, gniewała się prawie za te oznaki zubożenia, przypisując zły humor Mistrza, Zoni, która go nie tak przyjmowała jak dawniej.

Wdowa miała obyczaj otwartego wygadania się z myślami, nie ukrywała więc ich przed Jewłaszewskim, chciała go wyciągnąć na otwarte tłoma-

czenie. nie szczędziła wyzywau. ale Mistrz a ojciec, milczał.

Frasunek, strapienie widać było na pomarszczonym czole, cierpiał widocznie, a mówić nie chciał.

Wszyscy jego uczniowie i przyjaciele tym stanem ducha byli zaniepokojeni.

Zdało się jakby nagle zwątpił o sobie. Najgorsza polemika w kwestyach żywotnych, które dawniej go poruszały żywo i wywoływały wybuchy, teraz znajdowała go zimnym.

Rzucił czasem jakie słowo jakby dla pozbycia się natrętów i chodził zasepiony po pokoju. Kilka razy nie zastano go w domu wieczorem i nie wiedzieć gdzie go było szukać.

O tém mógł jeden tylko coś powiedzieć Jefrem Wasyljew, który wiedział, bo on wszystko musiał zawsze podpatrzyć, jak jednego wieczora poważnym ale mimo to, jakimś wahającym się krokiem, Jewłaszewski wsunął się do jego kamienicy i poszedł wprost na górę do drzwi owęj nieznajomój nikomu lokatorki.

Tu, jakby się wahał czy ma wniść czy nie, długo stał cicho Jewłaszewski; naostatek na odwagę się zebrawszy, wkroczył wprost do izby gościnnój, w której owa bielona i różowana osóбка siedziała.

Wieczór był, ale jeszcze jasny i przez okna wpadł jaskrawy blask zachodu.

Gdy Jewłaszewski wkroczył, gospodyni zwróciła na niego oczy. Nie mówiąc ani słowa, Mistrz stanął, wlepił w nią wejrzenie, spuścił ręce i patrzył.

Ona też zdziwiona w początku spoglądała nań, potem zaczęła się mieszać, na ostatek krzyknęła -- Anuszką! ratuj! i upadła zemdlna.

Na wołanie to wbiegła stara sługa, plaszcząc w dłonie i zawodząc, Jewłaszewski się z miejsca nie ruszał.

Za starą natychmiast zjawiała się młoda sługa z krzykiem... Zaczęto cucić omdlałą, która już przychodząc kilkakroć do siebie, co zobaczyła Jewłaszewskiego, to oczy zakrywając rękami mdlała na nowo.

Trwało tak może z pół godziny, a Mistrz nie ustępował, kobiety służące nadaremnie się go pozbyć usiłowały, mrucał, że z panią Eudoksyą Filipówną mówić musi. Uspokoila się ona wreszcie, chociaż wciąż jeszcze płakała i łkanie konwulsyjne wyrywało się jęj z piersi.

Anuszką z towarzyszką wyszły, bo im dała znak, aby ją zostawiły samę, zdaje się jednak, że dla bezpieczeństwa pozostały podedrzwiami, bo później się ta cała scena rozgłosiła tak, że coś o niej nawet wiedział nazajutrz Wasyljew, ale nie mówił żywój duszy, na Jewłaszewskiego tylko patrzył z ukosa bardzo i gębę krzywiąc.

Po wyjściu kobiet długo jeszcze mówić nie mógł począć Jewłaszewski, bo Eudoksia co spojrziała nań, to zasłoniła twarz rękami i zachodziła się z płaczu.

On czekał.

— No cóż, Eudoszka! odezwał się nareście, nie chcesz ty mnie znać?..

Nie było odpowiedzi, płacz tylko.

— Ja was nie znam! nie znam! tak jak wy mnie nie znali! odezwała się naostatek kobieta z za łez. Ja was znać i wiedzieć o was nie chcę..

— To ja winien! przerwał Jewłaszewski.

— A któż? a kto? odpowiedziała ledwie dosłyszonym głosem kobiéta.

Przez czas jakiś płakała znowu, Jewłaszewski nie ustępował.

— Darmo ty się będziesz mnie zapierała, począł zwolna, widząc, że łez i łkania nie przeczeka, darmo Eudoszka, prawda musi zawsze wyjść na wierzch. Byłaś ty moją żoną, kto z nas winien, nie chcę ja sądzić, ty czy ja czy oboje, a ot, co wyszło z tego. Lat minęło dosyć, Eudoszka, ja taki jaki byłem goły, a tyś wyszła na panią. Ja się nie żeniłem, bo o tobie pamiętałem, a ty żyłaś z drugim, jakim prawem? Ty byłaś moją i nie przestałaś moją być.

— Nie! nie! poczęła wołać kobiéta, niech pan Bóg sądzi, niech ludzie sądzą, ja nie winna. Ja do ciebie nic nie chcę mieć, ty do mnie nie miej téż, jak mnie porzuciłaś wówczas, tak niech zostanie na wieki.

— Héj! Héj! odezwał się zimno Jewłaszewski, to darmo, bo tak nie może być. Ty byłaś moją i moją musisz być. Już ja nie pytam o to co się z tobą działo, ale przeznaczenie cię tu przyniosło... to darmo, ty mi się już nie wymkniesz!

Eudoksia Filipówna, która płakała ciągle, nagle jak zrozpaczona porwała się i podbiegła z rękami podniesionemi do stojącego uparcie Jewłaszewskiego.

— Niechaj dzieje się co chce! niech mnie biorą i krzyżują i biczują i kaźnią i sadzą do więzienia, ja ciebie nie chcę znać i nie będę...

— A to, zobaczymy! odezwał się chłodno Jewłaszewski.

— O! ja wiem! zawołała kobiéta ręce łamiąc, gdy-
bym ja tu była przyszła jak odeszłam w jednej ko-
szuli, bez kopiejki przy duszy, ty byś mnie ani znał,
ani się o mnie upominał, ależ ty na moję biedną chu-
dobę łakomy! Ja ciebie znam! ja się tobą brzydzę jak
przeklętym szatanem. Gdy wspomnę życie moje, mło-
dość moję, a com ja ucierpiała z tobą, gotowam dziś
w Dniepr na dno prędzój niż znowu z tobą zacząć na
nowo te męki.

Jewłaszewski się nie bronił, ustami poruszał, ra-
mionami wstrząsał, czekał aż sroga burza przemienie,
kobiéta ciągle łzami się zalewała.

— Jak sobie chcesz Eudoksia Filipówna, zawołał
po długim przestanku, wola twoja. Zamelduję do urzę-
du, że jesteś żoną moją, która zbiegła przed laty
i przepadła jak kamień w wodę, niechaj wyprowadzą
śledztwo, ja przysięgnę, ty nie możesz duszy gubić.
A przysiężesz to świadków znajdě.

Będziesz musiała odpowiadać z kim to ty żyła,
gdzie, z kąd tobie przyszło to co masz. Zobaczymy!

Przeszedł się po pokoju.

— To darmo, Eudoksia, ja nie podaruję swojego,
a ty mi nie ucieczesz. A chcesz pogadać w dobry spo-
sób, poradzić się, poładzić, poprobujmy.

Biedna kobiéta nie wiedząc co począc ręce ła-
mała z rozpaczy, kobiety stojące pod drzwiami, prze-
rażone, wszystkich świętych znanych sobie na ratu-
nek pani wywoływały.

Przychodziło im na myśl pobiedz do policyi i dać
znać o napaści, ale lękały się, nie wiedząc o co cho-
dziło, aby gorszój nie nawarzyć kaszy.

Przycichać jakoś w końcu zaczęło i rozmowa, przerywana czasem tylko płaczem tłumionym, dochodziła ich uszów. Bardzo nie prędko, bo już nocą wyszedł nareszcie Jewłaszewski i pani zawołała Anuszkę swą, która ją znalazła straszliwie zmienioną, z twarzą łzami wymytą z bielidła i barwiczki, na pół omdłąłą. nie mogącą przemówić słowa, nie chcącą wytlómaczyć nic, narzekającą tylko, że ją Bóg ukarał srodze.

Ponieważ nie miała w nikim zaufania wdowa, a sama ona i jej kobiety koniecznie kogoś na radę i ratunek wezwać chciały, zwołano Wasyljewa, wydającego się dobrym i litościwym człowiekiem. Kupiec poszedł na górę chętnie, ale w początku lokatorka nie miała odwagi powiedzieć mu prawdy całej.

— Młodą, prostą kozaczką dziewczyną, dla kraszy mnie ten człowiek zaślubił, przyznała ze łzami Eudoksia, byłam dzieckiem gdy się to stało, a nie rozumiałam nic, tylko że panią będę, bo Jewłaszewski miał kawał ziemi, a kto wiedział co ona była warta. Jemu wprędce sprzykrzyła się i wieś i żona. Chciał dalej w świat, wypominając mi, że ja mu byłam kulą u nogi, kamieniem u szyi.

O! że ja tam duszy nie wyplakałam, że nie umarłam, że nie poszłam się utopić, Bóg tylko łaskawy ratował.

Nie chciał mnie znać za żonę, wypominał, że ślub był zły, że my lat nie mieliśmy, że i świadków i zapisu nie było. Pędził mnie z domu aż wyгнаł.

Poszłam ja ze łzami, sama nie wiedząc dokąd, bo już rodziców nie było, a braciom się pokazać srom miałam. Z węzełkiem biednym powędrowałam do miasta, gdzie? po co? na służbę! Znalazłam dobrych ludzi

co mię przyjęli, a potém pocziwego co jak żonę mnie wziął i trzymał i szanował i kochał, a umiérając mi co miał zostawił. Wasyljew słuchając opowiadania głową kręcił i dawał do zrozumienia, że sprawa zła była.

— Nie chcecie z nim żyć? rzekł w końcu, na to rady innéj nie ma, okupić mu się trzeba. Gębę mu zatkać.

Ale i on pewno niegłupi, kiedy może mieć wszystko, jakby chciał odrobiną się zaspokoić! Trudna sprawa!

Po cichéj naradzie, w ciągu którój kupiec się od wylękléj kobiety dowiedział co miała, bo mu ze strachu spowiadała się ze wszystkiego, poszedł rano Wasyljew w poselstwie do Jewłaszewskiego. Za ledwie mógł zagaić gdy ten mu odparł.

— Po co wy, Jefremie Polykarpiczu, mieszacie się w nie swoje sprawy! Palca między drzwi kłaść nie trzeba. To domowa rzecz, dajcie mi z nią uporać się samemu.

Z tém go odprawił. Do wieczora dał folgę Eudoksyi i czas do namysłu. Wieczorem nie przyjmowano nikogo, poszedł on na rozmowę i siedział do późna, a gdy wychodził, ci co go po drodze najrzeli powiadali, że posępną miał twarz i brwi ściągnięte. Całą noc kobiety około Eudoksii spędzić musiały, bo na serce chorowała z płaczu i smutku. Usnęła dopiero nad ranem, nie wychodziła z domu, nie jadła prawie, posłała świece do cudownych obrazów, i tak przetrwała do wieczora. Nadszedł znowu nieubłagany przesładowca, ale kobiety mówiły, że łagodniejszym

się okazywał i dobremi słowy starał się płaczącą i narzekającą uspokoić.

Przybywał i dni następnych, a Eudoksia powoli przychodzić zaczęła do siebie, czego pierwszym znakiem było, że twarz pomalowała i suknie wdziała paradne, pierścionki i klejnoty, Jewłaszewski pił już u nię herbatę i gadali z sobą po cichu.

Tylko gdy wyszedł od nię, wzdychała ciężko, a nocami jeszcze popłakiwała. Wasyljew choć się usunął od tęg sprawy utrzymywał, że się ona skończy zgodą. Mrugał jedném okiem, śmiał się i Anuszcze szeptał. A no jeszcze i chrzciny mogą z tego być!

Stara go uderzała po ramieniu nie chcąc słuchać.

Tymczasem przyjaciele Mistrza nie wiedzieli nic, prócz, że zaszła w nim niepojęta, niewytłómaczona zmiana.

Nie poznawano tego apostoła gorliwego, teraz pogrążonego w milczeniu, posepnego, zobojetniałego na wszystko.

Stopniami przestał bywać u pani Heljodory, a nawet u siebie przyjmować. Nie zastawano go prawie nigdy w domu wieczorami, a Wańka, choć z miny mu znać było, że coś wiedział, zaklinał się, że o niczém wcale nie wie i nie zna...

Metamorfoza ta ogromne uczyniła wrażenie na adeptach mistrza, szukano jęg przyczyn nadaremnie. a tym czasem grono, któremu przewodniczył, zaczęło się zwolna rozpierzchać.

Nikt nie mógł go zastąpić. Pragnącym wiedzy i jakiegoś postępu, który lepiej nazwać było potrzeba poskokiem, potrzebującym wodza do walki z ciemno-

tą i barbarzyństwem, jak się wyrażali, jakby z nieba spadł naówczas przybywający się tu doktoryzować, uczeń uniwersytetu w Bonn, niejaki Euzebiusz Komnacki, który już stopień Magistra filozofii w Niemczech był uzyskał.

Rodem z okolic Kijowa, pan Euzebiusz znany tu był w młodości, a sława nadzwyczajnej nauki wyprzedziła go do Kijowa! Młodzież wyobrażała sobie naturalnie, iż przyniesie jój z sobą światło najczystsze, u zachodniego zaczerpnięte ogniska, najświeższe wypadki nauki, badań, filozofii i teorii społecznych.

Jewłaszewskiego już zobojętniałego, wieść o tym przybywającym współzawodniku dotknęła dosyć żywo... Podrażniona miłość własna nie dała mu cofnąć się z placu boju bez okazania się na nim przynajmniej.

Mówiliśmy jak był zawsze ostrożnym w wypowiedaniu cząstkowem teoryj swoich i pomysłów; choć go nauka istotna trwożyła trochę i próba jaką miał przebyć miłą nie była, musiał dla czci swój, spojrzeć w oczy p. Euzebiuszowi. Zapowiedziano mu już zawczasu nietylko jego przybycie, ale niezmierną chęć poznania tego luminarza, jakim głoszone Jewłaszewskiego.

— A! zobaczymy, zobaczymy! co to nam tu ten młokos przywiezie osobliwego z zagranic, odzywał się z zawczesnym przekąsem, bardzo rad będąc ujrzeć, posłyszć, uczyć się...

Z udaną pokorą wyczekiwał na gościa. Unikać go, uciekać od niego, byłoby uznać się bez walki zwyciężonym.

Zawczasu zdania były podzielone, jedni utrzymywali, że Mistrz wyjdzie zwycięzko, drudzy objawili

pewną milczącą dwuznaczną obawę. Niektórzy zapowiadali nieprawdopodobną rzecz w młodzieńcu wprost przybywającym z zachodu, zacofanie.

-- Nie potrzeba mówić sobie, dodawał Mistrz, że tam już cała mądrość. Latańskie rasy się przeżyły, Niemcy miewają bziki, a na Słowian przypadł czas odrodzenia myślą nową strupieszalego świata! To moje najmocniejsze przekonanie!

W ten sposób obwarowawszy się na wszelki wypadek, aby gdyby został pobitym, nie uznać się za zwyciężonego, Jewłaszewski czekał.

Euzebiusz przybył nareszcie, niektórzy widzieli go już i mówili o nim tylko — zobaczycie. Jedni z pierwszych, którym dano było się z nim spotkać, był Ewaryst, którego rodzice z Komnackiego familią w blizkich byli stosunkach...

Na pierwszy rzut oka młody filozof wcale nie był imponującym. Średniego zaledwie wzrostu, fizjonomii nic nie mówiącej, milczącej, skromny, potulny, nie popisujący się z niczém, czynił wrażenie człowieka niewielkich zdolności. Był to jednak pozór ludzacy, p. Euzebiusz niełatwo dający coś dobyć z siebie, gdy został powołanym do wypowiedzenia zdania, zmieniał się zupełnie, nabiérał powagi, rozwijał niepospolity dar słowa, wychodził z powszedniego swojego stanu, przybierając ton człowieka tak pewnego siebie i tego co głosi, że nikt mu dotrzymać nie mógł.

Miał naukę istotną, gruntowną i rozległą, na pewnych opartą posadach i w pierwszej rozmowie z Ewarystem dał mu poznać jak daleko był od radykalizmów naukowych i społecznych. Sceptyk trochę w wielu przedmiotach, przez to samo rewolucyjnego

nie miał ducha, bo do burzenia potrzeba zapалу i wiary, trzeba szaleństwa pewnego, a sceptycyzm naukowy woli kroczyć powoli, bo w skutek pochodzenia swego nie ufa.

Nazwaliśmy to sceptycyzmem naukowym, coby raczej miarą i wiedzą granic rozumu nazwać należało. W nim wątpliwość w rzeczach wielu łączyła się z niewzruszoną wiarą w metodę badania i istotne nauki zdobycze.

Spotkanie się z sobą dwóch owych znakomitości, zapowiadane ciągle i z dnia na dzień odkładane, gdyż Jewłaszewski, jak gdyby go chciał uniknąć lub spodziewał się jakiejś przeszkody uwalniającej, zwłóczył ciągle z niem; miało zrazu przyjść do skutku w mieszkaniu Mistrza. Dogadzało to jego próżności, że nowoprzybyły miał mu pierwszy oddać uszanowanie, przeciwko czemu p. Euzebiusz nic a nic nie miał; bo ani dumy, ani ceremonialności nie było w nim najmniejszej.

Tymczasem dowiedziała się o tém pani Heljodora i całą swą strategią wymierzyła przeciwko projektowi, dowodząc, że powinni byli zetknąć się niby przypadkiem na gruncie neutralnym. Szło jój o to, aby była świadkiem tryumfu, a bodaj już tylko walki i by o nich później opowiadać *de visu et auditu*. Młodzież swą podkomendną wyprawiała na wszystkie strony z takim naleganiem, sama napadła o to tak gwałtownie Zyżyckiego i Mistrza, że się jój oprzeć nie mogli.

Zyżycki pół żartem jój odparł z początku.

— Ale bo to, widzi pani, wiadoma rzecz, przyjdzie do jakich rozpraw naukowych, to trzeba zupeł-

nej swobody słowa. a przy kobietach zawsze się człowiek za język kąsać musi.

— A cóż to, my, proste jakieś bigotki, fanatyczki, skromnisie, które lada słowo rumieni! Przecież waćpan wiesz, żeśmy bez tych głupich przesądów i że przy nas wszystko mówić można.

Koniec końcem postanowiono którego wieczora miał p. Euzebiusz przyjść do Heljodory, do której i Jewłaszewski się obiecał.

Zonia, choć teraz mocno zajęta sobą, smutna i podrażniona, bardzo chciała widzieć przybysza i być przytomną owój naukowej szermierce.

Zbiierając się na nią, nikt tylko o tém nie pomyślał, jak i kto zagai rzecz i wyprowadzi na stół. Nie znano p. Euzebiusza, który sam więcej unikał rozpraw diletanckich o naukowych przedmiotach, niż je wywoływał. Za niego ręczyć było można, iż gotów o pogodzie, o ulicy, o lada fraszce mówić wieczór cały, niżby miał w niepoświęconém miejscu wyrwać się z kwestyą naukową.

Jewłaszewskiemu téż polemika była nie na rękę, nie był do niej usposobiony teraz, obawiał się pedanta, to jest człowieka z logiką i systemem mówiącego o rzeczy głębiej zbadanej; i on więc nie był skłonnym do zaczepki.

Euzebiusz nie chcąc być zupełnie sam wśród obcych, trochę znajomego Elwarysta z sobą pociągnął, który rad był przy téj zręczności Zonię choć zdalaka zobaczyć.

Pani Heljodora, objawiająca przy każdej zręczności swą wzgardę dla form wszelkich towarzyskich, do elegancyi, do występów, jednakże tego wieczora

porobiła pewne mało znaczne ustępstwa, aby się zbyt parafiańsko nie wydać gościowi.

Zwykle występowała w sukni dosyć przeszarżowanej a niedbale zapiętej pod szyją, a często bez kołnierzyka czystego i rękawków. Tego dnia suknię włożyła nowszą i śnieżnej białości manszetki. W izbie umieszczono starannie i niezliczone resztki papiérosów wyrzucono do komina zastawionego parawanikiem. Stara Agafia zastosowała się do instrukcyi i włożyła chustkę świeżą, a suknię jedwabną. Do herbaty przysposobiono wymyślniejszą przekąskę.

Jedna tylko Zonia nie chciała się ubrać inaczej tylko jak na codzień.

Z gabinetu przytykającego, zawsze zarzuconego gratami, wyniesiono kompromitujące rupiecie do sypialni, aby nim zwiększyć miejsce, przyłączając go do salonu.

Daleko jeszcze było do wieczora, a dzień niesłychanie upalny i gorący dokuczał, gdy już Heljodora z papiérosem chodziła niespokojnie po swoim saloniku, mającym być wkrótce teatrem walki.

Nikt jednak nie przychodził i zmierzchać zaczęło, gdy pierwsi panowie akademicy, co najmłodszy i najniecierpliwszy ściągając się zaczęli. Przybywali bardzo powoli i właśnie ci, o których gospodyni jak najmniej chodziło.

Zonia wyszła nieprędko zadumana, blada, milcząca, z minką pogardliwą i roztargnioną. Na kilka pytań jej zadanych ledwie pół słowami raczyła odpowiedzieć.

Gdy nadszedł Zorjan, którego gospodyni przyjęła bardzo zimno, we dwoje z nim zaczęli chodzić, szepcząc po salce.

Szeliga pokornie kroczył za Zonią, która się z nim obchodziła jak z niewolnikiem, ale razem okazywała mu poufałość taką, że nawet Heljodora ramionami ruszała.

— Bo już za oczami róbcie sobie co chcecie, powiedziała zniecierpliwiona na ucho swój towarzysze, ale przy ludziach trzeba się zachować skromniej.

— A mnie co ludzie obchodzą? odpowiedziała krótko i ostro Zonia.

Było już kilku młodzieży, gdy Ewaryst wprowadził p. Euzebiusza. Choć go tu już opisywano jako niepozornego wcale, pani Heljodora nie mogła ukryć zdumienia, zobaczywszy niepoczesną, skromną figurkę, wszelkiej mistrzowskiej pozbawioną powagi.

Chwyciła go zaraz sobie do rozmowy i jeszcze bardziej się zdumiała, słysząc go jaskającego się i mówiącego tak proste rzeczy w sposób tak pospolity, iżby go nawet o żadną uczoność posądzić nie można.

Zobaczywszy wchodzącego Ewarysta, nieszczęśliwy Zorjan stchórzył i zdezerterował od Zoni. Ta zrozumiawszy łatwo powód ucieczki, sama go dognęła i dała mu natychmiast naukę, że chce i rozkazuje, aby wcale na Dorohuba nie zważał i na krok się od niej nie oddalał.

Pieszczone chłopię było wyraźnie na mękach. W chwili gdy Ewaryst przyszedł się z kuzynką przywitać, Zorjan powtórnie próbował się wymknąć, ale Zonia głośno mu powiedziała.

— Czegóż pan uciekasz? Stój pan i nie odchodź.

Szeliga pozostał niemy i jak wkuty.

Mówiono przy kanapie i dokoła stołu o wszystkim co na myśl przyszło, o profesorach, o materyalnych warunkach pobytu w Kijowie, o niektórych wykładach, o doktoryzacyi, którą p. Euzebiusz miał tu odbywać, ale kwestyj tak upragnionych naukowych i społecznych nie poruszył nikt. Czekano na Mistrza.

Parę razy, któryś z młodzieży z przełaju coś rzucił na stół, nikt tego nie podniósł. P. Euzebiusz opowiadał gospodyni o pięknych brzegach Renu, a studentom o pielgrzymkach ich kolegów niemieckich po nad niemi.

Po kilkakrotnych zapytaniach na migi uczynionych przez starą Agafię względem roznoszenia herbaty, na ostatek Heljodora dała znak przyzwalający i miano ją roznosić, gdy Mistrz ze swym sztabem, złożonym z kilku adeptów najśmielszych ukazał się nareście w progu. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, błąd był, wejrzenie miał jeszcze błędniejsze i staranniej kryjące się niż zwykle, ale ubiór jego trochę staranniejszy, dawał poznać, że myślał jak się tu pokaże.

Heljodora miała przygotowany frazes przy przedstawieniu dwóch mężów wzajemném. Poczęła od młodszego a potem dodała:

— Pan Jewłaszewski, naszój młodzieży mistrz i ukochany ojciec, nasz luminarz, o którym niepodobna, abys pan nie słyszał, bo sława jego daleko sięga po za nasze kresy.

Euzebiusz witał go z pewnym respektem, tłumiąc mały uśmieszek, a Jewłaszewski coś burczał

pod nosem, niezupełnie będąc rad z takiego zaprezentowania.

Piérwsza chwila zakłopotania przeszła w milczeniu.

Młodzież koleem wielkiem otoczyła tych panów, oczekując na ich starcie z sobą. Jewłaszewski zaś parę frazesów rzuciwszy wnet zamilkł. P. Euzebiusz zmierzył go oczyma raz i drugi i dalej coś mówił z gospodynią.

Podawano herbatę.

Słuchacze przybyli, aby być świadkami starcia, gorąca młodzież wyczekiwała niecierpliwie napróżno.

— Ale słuchajno, Zyżycki, odezwał się jeden po cichu, pókiż to tego będzie? trzeba im koniecznie kość rzucić aby się pogryźli.. Jewłaszewski mruk jest dopóki potu nie poczuje. Nie ma rady, trzeba, aby jeden z nas podniósł jaką kwestyą...

Zgadziali się na to wszyscy, i młody Helmer, z nazwiska niby Niemiec, ale z rodu i charakteru Chochoł czystej krwi, przystąpiwszy do stolika, począł p. Euzebiuszowi wykładać najnowszą teorią społeczną, wedle ewangelii Jewłaszewskiego, ciągle się odnosząc do niego. Nastawał szczególnie na starosłowiańskie jakoby wydobyte z mroków przeszłości prawa i zwyczaje nowój organizacyi gmin i podziału własności i t. p.

P. Euzebiusz słuchał bardzo cierpliwie, niekiedy nawet trochę już jękającemu się Helmerowi podpowiadając z Haxthauzena.

Gdy wykładający dokończył stało się milczenie, Komnacki patrzył wprost pod stół, zdawał się namyślać.

— To nie są wcale rzeczy nowe, rzekł w końcu, wszystkie społeczeństwa od takich organizmów zaczęły i przez nie przeszły, ale żeby do nich powracać drogą rozumowania i teorii, byłoby to dobrowolnie cofać się nazad ku barbarzyństwu.

Jewłaszewski słuchając zarumienił się nieco.

— Wyznasz pan, rzekł sucho i aforystycznie, że dzisiejsze stosunki społeczne w Europie nie są wcale ideałem, i że z pomocą téj niby cywilizacji, która się przeżyła, doszedłszy do takich rezultatów, ludzkość ma prawo czegoś lepszego szukać na innéj drodze.

— Ludzkość ma zawsze prawo szukać polepszenia swojego bytu, odparł Euzebiusz, to jéj ziemskie zadanie, lecz po drogach już ubitych i zbadanych nie ma po co chodzić raz wtóry.

— Właśnie pytanie czy to są drogi już zbadane, rzekł Jewłaszewski... Każdy naród ma swe posłannictwo i we własnéj skarbnicy szukać powinien ziarna, to skarbnica nasza .. Ziarno stare może dawniej zejść nie miało czasu.

— A dla mnie to pytanie, rzekł Euzebiusz, czy ziarno jest nasze. Widzę je wszędzie w pierwotnych organizacjach społeczeństwa jako przygotowawcze i przechodowe.

Jewłaszewski wydał usta mocno, rzucił okiem po swém audytoryum z wyrazem małego szyderstwa i zamilkł.

Zrobiło się cicho.

Ostatnie słowo dawało jakby zwycięstwo przybyszowi, nikt nie miał ochoty się odzywać, gdy w miejsce Helmera, wystąpił drugi młodzieniec z patetycz-

ném dowodzeniem o konieczności reform radykalnych, burzących, aby plac do czynu dla przyszłości oczyścić.

Odwoływał się téż w swych argumentacjach do Jewłaszewskiego, który okazywał znaki zniecierpliwienia i nieukontentowania.

Zaczepony wprost Euzebiusz, widząc, że idzie o wyznanie wiary, nie wahał się z niémi i począł spokojnie bardzo.

— Tak jest! tak jest! potrzeba reform, trzeba ulepszeń, trzeba postępu, ale zarazem jasnego pojęcia jak się on w historii objawia.

Widzimy go czasem następującym po wielkim kataklizmie, burzeniu i niszczeniu, to prawda, lecz daleko dzielniejszy, pewniejszy jest postęp stopniowy, powolny i nie rewolucyjny. Wielkie kataklizmy historyczne zawsze prawie wychodzą na korzyść nie tym co się do ich spełnienia przyczyniali, co je wywołali, ale obcym, świadkom bezczynnym... [Instykt burzenia właściwy jest narodom dziecinnym lub zdzieciniałym.]

Jewłaszewski spojrział po swoich, młodzież osłupiała, zachowała się milcząco, nie odpowiedział nikt bardzo długo.

— A tak! tak! przebąknął Mistrz popiwszy herbatę, powoli noga za nogą, kulejąc za jakie dziesięć pokoleń dojdzie się do tego, że się namaca chorobę, a za drugie dziesięć trochę ją podkuruje..

Rzekł to po cichu z ironią wielką.

Praca około postępu skalą naszego życia nie powinna się mierzyć, rzekł Euzebiusz. Ludzkość cała, zbiorowy człowiek ma żywot jeden, którego my je-

steśmy maleńkimi czynnikami... Jednostkom może być z tém wygodnie, ale cóż znaczą jednostki??

Znowu patrzano po sobie, nikt już nie próbował zaczepiać Komnackiego, który pozostał odosobniony, jakby między nim a otaczającymi otwarta wojna wypowiedzianą została.

Jewłaszewski nie wdawał się już w dalszą polemikę, widząc, że krańcowo od siebie teorye jego i przywiezione z zagranicy przez Euzebiusza się różniły.

Sarkastyczny uśmiech błędził po jego wargach.

Ewaryst patrzył jak Zonia w czasie tej krótkiej wymiany słów, stała wpatrzona i wsłuchana w Euzebiusza, brwi zmarszczywszy; spojrzała potem na Jewłaszewskiego i czekała co dalej nastąpi. Młodzież gorączkowo po kątach się ucierała. Pani Heljodora siedząca przy swym gościu była, jako kobiéta, wyraźnie pod wrażeniem nowości i łatwo można było poznać, że Mistrz stracił wiele w jej przekonaniu.

Uparte jego milczenie, bądź co bądź, kazało się braku odwagi i wiary w siebie domyslać.

Rozmowa stała się gwarną i rozdzieliła po grupach. Gość zwrócił się na klimat, porównyując ten, w którym żył lat kilka, z miejscowym. Wpadł na meteorologią, ktoś wtrącił żarcik jakiś i on mu dopomógł wesoło wtórując.

Słowem mistrzowi wydał się bardzo pospolitym.

Zagadnięty w kątku przez Zyżyckiego Jewłaszewski.

— A cóż, ojcze?

— A co? młokos niedowarzony i pedant! odpowiedział Mistrz, odwracając się. Nie ma z kim gadać!

Zonia, którą jej wielbiciel zapytał cicho o zdanie, odparła.

— Nie rozumiem go, widzę tylko, że nas z pogardą traktuje i zbywa lada czém... Wyraźnie unika polemiki.

Ścisnęła ramionami.

Wielkie oczekiwania jakiegś walnej bitwy musiały się na tym szarmyclu rozbić, bo nikt już nie spodziewał się, aby Jewłaszewski, albo Euzebjust podniósł rękawicę.

Adepci Mistrza nadto byli przejęci długo ssanymi teoryjami jego, aby się łatwo pobić dali i nawrócić, niektórzy jednak z nich chodzili zadumani, przeżuując słowa Euzebjustowe...

Zdania były chwiejne i rozdwojone.

Ku końcowi już wieczora, Zonia miała zręczność zbliżyć się do gościa i rzuciła mu kilka pytań w przedmiocie, który ją najbardziej obchodził, co do praw kobiety i kwestyi jej emancypacyi.

Gorąco poczęła na niewolę niewiast utyskiwać, nalegać na potrzebę wyzwolenia, i w końcu tak nacisnęła, dosyć milczącego p. Euzebjusta, że odpowiedzieć jej musiał.

— To co pani nazywasz kwestyą praw kobiety, a co nią być mogło w średnich wiekach, dziś nie istnieje. Prawie we wszystkich cywilizowanych narodach, kobieta ma też same prawa co mężczyzna. Kwestya cała zamyka się w uzdolnieniu. Jak mężczyźni tak kobiety nierówno są wyposażeni, nie każda być może panną Herschell, ale każdej jest to dozwoloném. Kto w sobie czuje siły, odwagę, wytrwałość, czemużby

nie miał dobijać się stanowiska, do którego czuje się zdolnym?...

W Ameryce kobiety zajmują katedry po uniwersytetach... mogą się ich dobić i u nas!

Uśmiechnął się dwuznacznie.

Zbyta w ten sposób Zonia, nie mając się o co z nim sprzeczać, zamilkła. Był bardzo grzeczny i w wyrazach pochlebnych nader, winszował ję zapalu do nauki, o którym już slyszal.

W ogólnosci nadzieje pokladane na panu Euzebjuszu mocno zawiedzione zostaly. Znajdowano go zimnym, unikajacym rozmowy seryo, pogardliwym niemalo, choc nie chybil nikomu. Mlodziez mowila, ze sztywny byl i krochmalny. Ci, ktorzy wygladali fejerwerku, powiadali, ze braklo mu na geniuszu i wymowie... Slowem, jednym mozna bylo z tych sadow wniesc, ze nie zrobil wrazenia wcale, ale w glębi duszy tych co go sluchali, choc sie nie przyznawali do tego, zostal slad trwaly, materyal bogaty do rozmyslan.

Jewlaszewski, ktory zawsze prawie kazdego wieczora mial choc jedne chwile „wniebowzicia,” natchnienia i zapalu, ktory improwizowal cos chaotycznie niezrozumialego lecz tak zaprawnego, ze upajalo, tego dnia chodzil ostygly i jak nie swoj.

Juz bylo po dziesiatej, gdy na dany przez Euzebjusza znak, Ewaryst poszukal kapelusza, aby sie wymknac z nim razem. Znaczniejsza czesc zgromadzenia pozostala jeszcze z pania Heljodora, i dopiero po wyjściu Komnackiego towarzystwo sie ozywilo, wybuchnelo zdania, sady i przekasy.

Mistrz ponury, milczał. Gospodyni słuchała nie mówiąc swojego zdania; młodzież zbywała żarcikami.

Oczekiwano długo nim nareście Jewłaszewski przygotowawszy się zawołał z powagą nakazującą.

— Otóż to są owoce zagranicznego wychowania! Młodzież powraca nam obca wszystkiemu co nasze, nie rozumiejąca ani potrzeb, ni tradycyi, z umysłem przykrajany do niemieckiej lub francuzkiej mody, a my w pokorze ducha padamy na twarz przed wielkim genjuszem zachodu!!

Sąd ten, w którym była odrobina prawdy, wydeklamowany pięknie, wywołał ogólne uznanie. Mistrz zwyciężył, otoczono go ze czcią, był rad z siebie i pieczęć tę przyłożywszy do historii pamiętnego wieczoru, natychmiast się oddalił.

Pilno mu było, a prawdę mówiąc Euzebjusz, postęp, nauka mniej go teraz daleko obchodziły od własnej sprawy. Biedny człek walczył dotąd z bardzo ciężkiem zadaniem życia ubogiego, podtrzymywanego rozmaitemi zarobkami niewidomemi, zjawienie się tej, która była niegdyś jego żoną, przybywającą jakby umyślném losu zrządzeniem dla wyzwolenia, stawiło go w położeniu nader wiele dającym do myślenia.

Mógł nagle biorąc tę kobietę życiem znękaną, zwiedłą i mniej ponętą niż była kiedykolwiek, użyć przez nią niezależność. Tłómaczył się sam przed sobą, że bogactwo było środkiem, który w jego rękach obfite mógł wyrobić owoce... Głodny dostatku pokonał się sofizmatami... Kości były rzucone, postanowił opanować jak swą własność Eudoksyą razem z jej majątkiem.

Kobięta przestraszona broniła mu się jak mogła, znając go z przeszłości, wreszcie zdała się już ulegać i zgadzać na wszystko. Trwoga ją zmoęła.

Układano się tym czasem, próbowała jeszcze Eudoksya okupić się od niewoli, Jewłaszewski nie przyjmował żadnej ofiary, trzymał się prawa.

W Wasyljewie nie znalazłszy doradcy, kobięta tak jak ze święcami udawała się do wszystkich świętych i błogosławionych w pieczarach i po cerkwiach, tak myślami szukała między tymi, których poznała w Kijowie człowieka, coby ją mógł ze szpon Jewłaszewskiego ocalić.

Przysnę życie z tym człowiekiem, gdy myślała o nięm, wydawało się męczarnią, miała zostać z pani niewolnicą, skazaną na wieczne wypominanie przeszłości, na surowe zamknięcie w domu... Kto wie? na niedostatek może?

Tonący brzytwy się chwyta, chodząc myślami po ludziach, do których listy swoje przywiozła i poznała ich w Kijowie, wpadła na ostatek na myśl zwierzania się panu Radzcy Jabłykinowi. Był to człowiek, który niegdys żył w przyjaźni z przybranym męzem Eudoksyi. Znajomość z nim odnowiona teraz sięęła lat dawnych. Ponieważ Jabłykin rzadko do nięj przychodził, bo był teraz na wysokiem stanowisku i tylko przez pamięć dla przyjaciela jego przyjaciółkę odwiedzał, posłała do nięgo Anuszkę z zaklęciem, aby przybył na chwilę rozmowy.

Jewłaszewski bywał co wieczora. Radzcę więc w dzień koniecznie proszono.

Człowiek był poważny na oko, w prywatnēm życiu lubiący wygodki i wesołe towarzystwo, dobrego

serca, małej głowy, a wielkiego poszanowania dla praw i formalności z niemi związanych. Lat już około sześćdziesięciu, a nierad by je na nim czytano, zawsze wygolony świeżo, dosyć otyły, Radzca stęknął, że musiał wśród dnia na pierwsze piętro się drapać po ociążającym śniadaniu.

Przyjęto go tu ze czcią wielką, posadzono wygodnie, a Eudoksyja zaczęła od tego, że padła przed nim na kolana, na cienie nieboszczyka zaklinając, aby ją biedną sierotę ratował.

Łzawe było opowiadanie przeszłości, bolesna spowiedź, bez której obejść się nie mogło. Radzca słuchał z uwagą nateżoną.

W czasie powieści ruchy rąk tylko oznajmowały, iż stary wątpił, aby Eudoksyją ratować było można.

— Sprawa wasza ciężka bardzo, nie zgryźć jój jak orzech, ani wyplunąć jak skórynekę chleba... Wszystko zależy od tego człowieka jaki on jest i czy z nim co zrobić można, jak nic, poddać się potrzeba...

— A uciekać za kraj świata! uciekać! zawołała Eudoksyja.

— Zapewne, rzekł Radzca, gdyby można, czemu nie? Myślicie, że on łapę zagiąwszy na was nie pilnuje noc i dzień? albo gonić nie będzie? A nuż listy gończe pójdą, a pochwycą gdzie?

Jabłykin ręce rozstawiał szeroko i składał je na żołądku, okazując, że nie widział ratunku. Prosiła go jeszcze Eudoksyja, aby pośrednikiem był i mówił z Jewłaszewskim. Zaklinała się, że nie miała więcej całego majątku nad pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tych

połowę gotową była oddać mężowi, byle ją swobodną zostawił.

Radzca przyrzekł wdać się w tę sprawę, ale szepnął na ucho Eudoksyi. E! mateczko, mówicie o pięćdziesięciu, a ja nieboszczyka kieszeń znałem!! E! e! Zakryła sobie oczy jójmość, usiłując wytłómaczyć, czego już Radzca nie słuchał, szedł natychmiast do Jewłaszewskiego.

Trzeba było przyjaźni jaką miał dla nieboszczyka, aby go po śniadaniu ona drugi raz na wschody drugiego piętra wyciągnęła. Gdy stanął u drzwi ocierał pot z czoła, z brody, z szyi i dyszał aż go żal było.

Jewłaszewskiego zastał na konferencyi z Wańką, który srodze miał potarganą czuprynę. Sposób ten wychowywania ludu nie wchodził w teorye Jewłaszewskiego, lecz w praktyce okazywał się czasem niezbędnym.

Radzca bardzo mało znanym był Mistrzowi, a urzędowe jego stanowisko i wstręt od popolitowania się wizytę czyniły bardzo dziwną. Jewłaszewski się jój celu odrazu domyślił.

Posadził dygnitarza w krzesło, Wańka uciekł, zaczęła się rozmowa od gorąca i od nieszczęśliwości tych co na drugie piętro są skazani.

Preludya do rozmowy zajęły z kwadrans czasu, dając Jewłaszewskiemu możność rozmyślenia się co miał począć. Radzca poufnie i w tonie przyjacielskim począł rozmowę.

— Ej! stary, rzekł do niego, ja jój przyjacielem, ale i tobie nie wrogiem. Na co tobie się to zda. To wziąć kobiętę starą, która do was serca nie ma? a co

to będzie za życie? męczarnia dla niej, męka dla ciebie. To proste kobiécisko, ty jój pokazać nigdzie nie będziesz mógł, ma swoje narowy, które tobie będą niemiłe. Nie lepiej ci wziąć dwadzieścia pięć do kieszeni i zostać swobodnym?... Ona z oczów zejdzie... ty się będziesz mógł ożenić...

Oparł się Jewłaszewski przywiązując do litery prawa, do obowiązków męża i żony, ale Jabłykin słuchać tego nie chciał.

— Co ty mnie takie rzeczy mówić będziesz? odezwał się, albo my ciebie nie znamy, albo to ty nie zapisany jako liberał i wolnodumiec, u którego żadnej wiary nie ma? albo to nie wiadomo, że ty i młodzież bałamucisz? a tu, nagle taki religijny się stałeś i tak szanujący prawo. Bodajes był zdrów...

Ostatni argument bledością okrył twarz Mistrza, który nadzwyczaj gorąco począł się wypierać swych przekonań.

Jabłykin głową kręcił.

Trwało jeszcze chwilę, ale już z coraz mniejszym ze strony Jewłaszewskiego oporem, ucieraniem się o żonę, przystawał wręście na indemnizacją trzydziestu tysięcy rubli z powodu, jak mówił, że ta kobieta więcej go daleko kosztowała...

Radzca zwyciężył...

Wszystko to, wystąpienie do żony, negocjacje z nią, układ ostateczny, wypłata pieniędzy przez ręce Radzcy, pokwitowanie i podpiska dana przez Mistrza w takiej tajemnicy się odbyły, że nikt z przyjaciół Jewłaszewskiego nie domyślał się nawet całej sprawy. Wasyljew nikomu o niej nie mówił.

Jednego wieczora gdy Zyżyński był u Mistrza, spostrzegł zdziwiony mocno, że mieszkanie niedawno zajmowane przez malowaną panią stało puste.

— A to, proszę cię, ojczulku, zawołał, albowiem ślepy, albo co, wszak u Wasyljewa ta jéjmość co stała na piętrze, ani śladu. Cóż to jest? umarła!

— Albo ja tam wiem! odparł zimno Jewłaszewski.

Wasyljew zapytany przez ciekawego studenta, powiedział mu, że wdowa za interesami pilnymi odjechała do Petersburga, wzdychając, iż na mieszkaniu wiele stracił.

Większe jeszcze było zdziwienie Zyżyckiego, gdy w kilka dni potém przybywszy do Jewłaszewskiego zastał go pakującym się i wybierającym jak w drogę.

— Cóż to jest? zapytał.

Mistrz namyślał się z odpowiedzią.

— Wiesz co, rzekł wyciągając rękę i palcem dotykając piersi jego, ja dla ciebie nie chcę mieć tajemnic... Przestrzeżono mnie, że jestem notowany i na oku, muszę zmienić sposób życia, mieszkanie, wszystko... Poświęcę się nauce, zamknę, odosobnię... Mój wpływ uważany był za szkodliwy, to mogło mieć dla mnie i dla was groźne następstwa. Z boleścią serca, ale usuwam się, usuwam, muszę.

To mówiąc uściskał Zyżyckiego i otarł suche oczy...

— Bądź zdrów! przyjacielu, rzekł, zobaczymy się w lepszych czasach.

Nazajutrz szeptano sobie po cichu nowinę, że Jewłaszewski był *zmuszony* się usunąć. Nikt prawie

nie wiedział o tém, że zajął mieszkanie na przeciwko opróżnione i zapłacone przez Eudoksią. W ulicy wieczorem gdy wychodził, mało go kto mógł poznać, bo wdziewał oficjalny cylinder, włosy miał ułożone jak inni podstarzali kawalerowie, buty długie znikły i owa chłopska fizygnomia ustąpiła miejsca jakiejś nowój przypominającej urzędnika.

Z domu wychodził bardzo rzadko i to tylko na wista do Radzcy, który go polubił bardzo.

Klepał go po ramieniu i szeptał mu na ucho. E! ty mały! jaki ty rozum miał, że Eudoksyi Filipównój nie wziąłeś, a toby ci z nią życie zbrzydło! Pół dnia pokłony bije, a pół dnia się maluje!

Zonia tak unikała Ewarysta, że prawie jój nie widział przez parę miesięcy, a pytać o nią nie miał kogo, iść zaś do niój sił mu brakło. Gdy pomyślał o zgubioném dziewczęciu, płakać mu się chciało.

Madzia, którój siostra na listy nie odpisywała, lub odpowiadała tak, że nic z jój pisma oprócz obojętności i lekceważenia wyczytać nie było można, zgłaszała się o wiadomości do Chorążyca, ten odpisywał ogólnikami, aby nie obwiniać, unikając szczegółów, lecz nie tając, że Zonia była bardzo dziwaczną, mało przystępną i t. p.

Zmuszony wreszcie coś donieść o niój, choć nie widział jój od tak dawna, Ewaryst jednego dnia zmusił się pójść do dworku Sałhanowój. Robiło mu przykrość niezmierną zbliżka patrzeć na tę istotę, dla którój miał niewymowną sympatyą, a ratować jój nie mógł.

We wrotach już zdala zobaczył starą Agafią, zaczepiającą przechodzących dla upragnionój gawędki i śmiechu. Stara była bardzo wesoła, a bez ludzi żyć nie mogła i chwili.

Zobaczywszy go poznała zdala starucha i witać zaczęła, zabierając się prowadzić do gospodyni.

Już weszli w korytarz, gdy Ewarystowi zmierzającemu do pokoju Zoni, Agafia pokazała drzwi bawialni. Myśląc, że ją tam znajdzie wszedł Ewaryst.

Heljodora sama leżała rozciągnięta na sofie z książką w ręku i cygaretką w ustach. Zerwała się prędko, zobaczywszy Ewarysta.

— Myślałam, że pana w Kijowie nie ma, rzekła, tyle czasu go nie widziałam...

Ewaryst oczami szukał Zoni.

— A Zonia gdzie? spytał.

Zdumiona mocno, wdowa rozśmiała się sztydersko.

— A to pan nic nie wiesz! odezwała się, już tygodni ze sześć jak jój u mnie nie ma!

Rażony jak piorunem Dorohub poskoczył ku gospodyni.

— Gdzież jest? zawołał.

— Wyniosła się, poczęła Heljodora. Już przynasz pan, że ja jój tu nie krępowałam w niczém, miała swobody ile chciała, robiła co jój do głowy przyszło, ale, dziwaczna!! sprzykrzyło jój się tu, no, wyniosła się, nawet nie wiem dokąd, bo jój nie widuję.

Zaniemiał Chorążyc. Był to cios, którego się nie spodziewał.

— Nie może być, rzekł, abyś pani całkiem nic nie wiedziała o niój; zmiłuj się pani nademną, powiedz...

Wdówka dziwnie pokręciła głową.

— Pan także się w niój kochałeś, słowo daję, odezwała się, dziewczyna ta ma osobliwe szczęście, wszyscy przepadają za nią i Jewłaszewski.

Nie wiesz pan może co się z nim stało? zapytała.

— Nic nie wiem.

— Jak w wodę wpadł!! Osobliwa też rzecz, nagle zwinął chorągiewkę. Powiadają, że jest w mieście, że po urzędnikach na wieczory chodzi, a nikt go z dawnych przyjaciół nie widzi. Takiż dezercyi, przyznam się, że m się po nim nie spodziewała! Pokiwała głową, patrząc w oczy Chorążycowi.

— O Zoni tyle wiem, szepnęła ciszej poufnie, niech pan się tēm nie martwi, że Zorjana Szeligę puściła... Zwodził ją, taką śliczną dziewczynę, a miał razem drugą kochankę i to jeszcze kogo! Jak się dowiedziała plunęła w oczy i kazała isć precz.

Najęła sobie mieszkanie osobno... sama jedna ze służącą. Słyszę schodzą się tam u nięj wieczorami, siedzą do późna, co mówią to powtarzać nie chcę. Na dole w tym samym domu mieszka Teofil Zagajło, Litwin, akademik, medyk, ten, słyszę, nie wychodzi od nięj, pokochali się bardzo.

Byle tylko znów tak nie było jak z Zorjanem.

Umilkła, patrząc wciąż na zbolałego Ewarysta, który ze spuszczonei oczyma siedział zabity, niemy, bez ducha prawie, powtarzając po cichu.

— Nieszczęśliwa! zgubiona!

Widząc go tak znękanym żal się zrobiło kobiecie, która serce miała aż nadto dobre i miękkie, wzięła go zwolna za rękę i dodała pocieszając.

— Już to prawda, jak mamę kocham, że za nic i za nikogo ręczyć nie można. Człowiek sam za siebie nie wie czyby ręczył! No ale co do Zoni, ja panu powiadam, ona taka zuchwała jest, szalona, lecz rozum ma i wziąć się tak nie da! O! nie! Cóż z tego, kiedy

ludzie patrząc co wyrabia, myślą sobie nie wiedzieć co i szkalują ją. A ona o to nic a nic nie dba. Patrzy śmiało wszystkim w oczy, plećcie co chcecie.

— Cóż to znowu za Zagajło! spytał słabym głosem Ewaryst, pani go zna?

— Widziałam go, chłopiec niczego, roztropny bardzo, ale zawierucha, mówiła Heljodora—porywczy, gorączka. Ubogi bardzo, wygląda dosyć dobrze, gada dużo, klucić się lubi...

Mnie się zdaje — dodała, że ona i z tym niedługo zerwie, bo czego chce trudno odgadnąć!!

Ewaryst nie miał już co mówić, a wdowa ciągnęła dalej.

— Czemu pan bo czasem nie zajdziesz do mnie! Ot byś sobie wieczorek przepędził spokojnie, bo u mnie teraz tak dużo osób nie bywa, od czasu jak Jewłaszewskiego nie stało... Czasem tam parę znajomych, a częściej nikogo... Mnie pana żal, tak żyjesz samotnie, a zadurzyłeś się niepotrzebnie w tym trzpiocie...

Grzecznie podziękowawszy Ewaryst po krótkiej rozmowie pożegnał gospodynię, która go aż w korytarz, ciągle zapraszając na herbatki, wyprowadziła.

Nietrudno było dowiedzieć się o nowe mieszkanie Zoni, gdyż stara Agafia zaczęła go na wychodnym i wskazała mu je bardzo dokładnie. Ewaryst nowym niebezpieczeństwem biednej dziewczyny rozbudzony, postanowił tegoż dnia jeszcze pójść do niej.

W kamienicy pokazano mu mieszkanie na tyle od dziedzińca, w którym się już świeciło. Służąca niepozorna otworzył drzwi nie oznajmując.

W pokoju siedziała Zonia sama, opodal od stołu zmęczona i tak smętna jak gdy ją widział ostatnią razą.

Gdy Chorążyc wszedł podniosła się powoli, idąc ku niemu i przywitała zimno...

— Dawnośmy się nie widzieli, rzekła przypatrując mu się.

— Tak dawno, wyjąknął głosem zbolełym Chorążyc, żem nawet nie wiedział gdzie szukać panny Zofii.

— A! a! porzuciłam Heljodorę, odezwała się żywo, dobra kobieta ale ograniczona, a panować chciała nademną i dawać mi rady! Ja tego nie lubię.

Wskazała krzeselko.

— Teraz jam sobie sama pani!

Ewaryst nie mogąc pochwalić tego, milczał.

— Wam, ludziom starego świata wydaje się to szkaradą jakąś — Panna! sama jedna i przyjmująca u siebie mnóstwo młodzieży, a na dole w tym samym domu akademik.

— Pan Teofil Zagajło! wtrącił Ewaryst.

— Już wiesz? pochwyciła rumieniąc się Zonia, jestem pewna, że Heljodora to zwiastowała, dodając, że jest moim kochankiem!

Nagle wstrzymała się i dodała.

— A! powinnam się wytłómaczyć z mojej zerwanej przyjaźni z panem Zorjanem, bo przypominam sobie, żem się nawet niegdyś przyznawała przed panem, że go kocham. A! kochałam go szalenie, choć wart tego nie był. Istota jakaś ślimaczéj natury, bez energii, bez serca, zbydlęcona... pfe! pfe!

A! jak nas ludzie okrutnie zwodzą, mówiła coraz żywiej. Jak orzechów tych ludzi, więcej pustych i robaczkliwych niż dobrych, zęby na nich psują, aby mieć usta pełne pruchna!!

Pfe!

Od czasu jakęś się widzieli zostałam straszną pesymistką! Życie jak komedia bez sensu, snem jakimś i zmorą... ciąży, dolega a nie opłaca się niczem... Plugawa kałuża ten wasz świat!

— Zoniu moja, wtrącił Ewaryst, tak on się może wydaje tym, co na niego oczyma skoszonemi patrzą.

— A! zapewne! wy patrzycie nań prosto! idealisci karmiący się mrzonkami. Aby nie żyć w tej brudnej rzeczywistości, stworzyliście sobie świat, którego nie ma... piękny jak bańka mydlana, ale pusty!!

Daj mi z nim pokój!

W tej chwili ze śpiewką na ustach i cygarem w ręku, bez ceremonii w kurtce jakiejś bez chustki, w pantoflach na nogach wszedł pan Teofil Zagajło. Zobaczywszy go w tym stroju, Zonia się zarumieniła, on zaczął się przypatrywać Ewarystowi.

— Pan Teofil, mój sąsiad, który w negliżu sobie pozwala mnie odwiedzać, co mu się przebacza, bo pracowity bardzo, nie ma czasu się ubierać.

— A! pewnie! odparł pan Teofil, z kolegami nie robi się ceremonii.

Pierwszy raz zblizka widział Chorążyc tego kolegę. Był to młodzieniec silny, zdrowy, szerokich ramion, rozkwitły bujno, z twarzą nie tak piękną jak rozumną, ale razem wiejącą zawczesnym chłodem. Na wygładzonym czole, w spojrzeniu jasnym i sięgającym do głębi malowało się pojęcie łatwe, inteligent-

cya żywa, lecz jakby przedwczesną starością zwiędła. Poezyi młodości, jaką ma każda prawie twarz w tym wieku jaki miał Teofil, nie było śladu w nim. Starła ją nieubłagana walka z losem, zawczesne pojednanie się z rzeczywistością czy samo dziwne, wewnętrzne usposobienie człowieka, który nie musiał nawet czuć potrzeby uciekania się do żadnych ideałów, dla ukraszania sobie życia.

Było w nim coś rubaszno żołnierskiego, coś co zowią chłopskiem, szedł po świecie pewien swój siły i nie wątpiąc, że nad nim zapanuje. Łagodności i przymilania się nie było w nim znaku, raczej umyślnie przybrana szorstkość i wyraz siły stojącej do popisu.

Z Ewarystem przywitał się dosyć obojętnie i poufale, tak samo i z Zonią, z którą zdawał się obchodzić nie tak jakby z kobietą, należało.

Siadł zaraz w krzesło, rzucając na stół czapeczkę i paląc dalej cygaro. Zonia była jakby zakłopotana tą poufałością zbytnią, z którą się u niej rozsiadał jak w domu, ale wprędce przyszła do siebie i zwróciła się z rozmową do Ewarysta. P. Teofil mięszał się do niej pół słowami szyderskimi, z jakąś wyższością trochę dziwną.

W ogóle nie był to człowiek wstrętliwy, mimo gburowatej swój powierzchowności, zdawało się, że nań rachować było można i że pod tą powłoką chropawą było i serce poczciwe i umysł zdrowo rozwinięty. Ewaryst mógł sobie łatwo wytłómaczyć przewagę jego nad Zonią, poczuciem siły, jaką Żmudzin objawiał. Obcując z nim, potrzeba było albo mu się poddać lub go podbić, a ostatnie musiało być równie trudnem dla

serca jak dla ducha. bo Zagajło miał w sobie coś, co go do panowania nad drugimi wyznaczało.

Mówił z taką śmiałością i siłą przekonań, że spór z nim wieść było próżnem. W równym wieku z Ewarystem, obchodził się z nim jakby z młokosem zgóry nań spoglądając. Z Zoni pozwalał sobie żartów delikatnych, ale tak dla niej nieprzyjemnych, że ciągle rumienić się i niecierpliwie musiała.

Rozmowa o sprawach ogólnych, wywołała z jego strony surowe krytyki wszystkiego o co potracono, nie przebaczał ani nauczycielom, ani współuczniom. Mówił zwięźle, stanowczo prawie i nie chcąc słuchać opozycji. Zonia z widocznym niepokojem słuchała go, patrząc jakie wrażenie czyni na Ewaryście, który więcej mu dawał mówić, niż sam się odzywał.

Wspomniano coś o Jewłaszewskim.

— Komediant! zawołał Zagajło, skończył jak oni wszyscy schowawszy się za kulisy. Nigdy nie byłem wielkim jego wielbicielem, bo często cały wieczór go słuchając, gdy kwintesencją chciał wycisnąć z tego co wygłaszał z taką prozopopeją, kropki nie wydusiłem z tego próchna.

U mnie człowiek jest w czynie, a słowo!... to zdawkowa moneta tych, którzy grubiej nie mają.

Widząc, że gościa tego, który tu był jak w domu, nie przesiedzi, i z Zonią się już nie będzie mógł rozmówić. Chorążyc pożegnał ją, zostawując pana Teofila, który wołał służącej właśnie, aby podawała herbatę.

Całe obejście się jego u Zoni, rażące było jakąś samowolą zbyteczną, którą ona znosiła bez szemrania. Czasem tylko brwi się jój ściagały i sznurowały usta jakby chciała wybuchnąć, lecz wprędce siła tego człowieka brała górę.

Z przykrém wrażeniem, które zawsze wynosił z sobą ile razy Zonię widział, powrócił pan Ewaryst do domu. Niewymówny żal téj zbląkanéj dziewczyny nie dał mu długo niczém się zająć. Myślał, wzdychał i znużony tém dumaniem bezowocném, wziął się do jedynego lekarstwa, którego zwykł był używać gdy mu co dolegało. Zasiadł do książek i pracy.

Wieczór już był późny, dzień jesienny, ciepły i piękny. Noc nadeszła niepostrzeżona, a jój cisza nadto sprzyjała pracy, którą był zajęty Ewaryst, by mu się ją chciało przerywać.

Pozbył się natrętnych myśli, zatopił cały w swych studyach i ani zważał jak zegarek na kominię stojący wybił północ. W domu wszystko już, jeśli nie spało, to się uciszyło. Okno jego pokoju otwarte wychodziło na ulicę, w której głucho milczenie małego miasteczka ledwie kiedy niekiedy krok spóźnionego przechodnia przerywał, zbliżając się i ginąc potem w oddali.

Około pierwszej było, gdy wśród tego uspienia niezwyčajny jakiś szmer z ulicy, uderzył jego ucho. Szedł ktoś a raczej biegł krokiem nierównym, przerywanym, pośpiesznym to omdlewającym. Coś jak jęk głuchy, głos stłumiony na wpół płaczem odezwał się téż u drzwi kamienicy, w które słabe uderzenie słyszeć się dało.

Ewaryst wyjrzał i w mroku zobaczył kogoś stojącego u wnijscia. Była to kobieta... ręką bezsilną biła we drzwi, opierając się głową o nie. Jakiśmś przecuciem wiedziony Ewaryst chwycił świecę i zbiegł co prędzej ze wschodów z kluczem, aby zobaczyć kto to mógł być.

Gdy drzwi otworzył, ujrzał przed sobą Zonię, z rozpuszczonymi włosami, nieubraną, okrytą chustką narzuconą na przedce. Twarz jej miała wyraz obłąkania, oczy biegały wkoło przelekle, usta nie mogły wydać głosu. Rękami drżącymi wskazała po za siebie.

— Zabiłam! krzyknęła, ratuj mnie. Nie wiem., nie wiem co mam zrobić z sobą — zabiłam.

Nie mogła mówić więcej i oparła się o ścianę, czoło gorące tuląc do niej jakby je chciała ostudzić.

Chorążyc nie mogąc pojąć co się jej stało, na pół zemdloną ujął za rękę i siłą niemal poprowadził z sobą. Szła bezmyślna i posłuszna, jęcząc i dysząc, a gdy się znaleźli na górze padła w krzesło, zakrywając sobie oczy.

Ewaryst podał jej wody, odtrąciła ją.

— Mów, na Boga co się stało! zawołał.

— Zabiłam go! odparła gwałtownie, porywając się z krzesła Zonia, alem niewinną!

Tak, mówiłam mu sto razy, że rewolwer zawsze mam przy sobie, że nie powinien się ważyć progu mojego przestąpić w tej godzinie.

Położyłam się w łóżko, niepoczciwa służąca otworzyła mu drzwi, śmiał wnijsć do mnie po nocy. Lampka się paliła, bo niecierpię ciemności, zobaczy-

łam go wprost idącego do mnie. Zawołałam, że strze-
lę, nie słuchał, śmiał się, rzucił się ku mnie.

Zakryła sobie oczy.

— Padł we krwi się tarzając! Zabiłam go! tak!
a takem go kochała. O! ja nieszczęśliwa! Widzę go
jak padł z jękiem, za piersi się chwytając i krzycząc.

— Szalona! — Tak! Byłam szalona, byłam nie-
godziwa... a teraz sobie chyba odbiorę życie.

Jęku i płaczu jej niepodobna było utulić. Ewa-
ryst nie wiedząc sam co ma zrobić, wahał się czy
iść dowiedzieć się o Zagajkę, czy pilnować ją tutaj,
aby sobie życia nie odebrała.

W tej niepewności gdy jeszcze walczył z sobą,
Zonia się zerwała nagle i krzyknęła.

— Chodź ze mną!

Tak, ja tam powinnam być na miejscu i nie ucie-
kać, ani kłamać. Com spełniła tego się nie wstydzę,
ale żałuję! ach żałuję. Bez niego żyć na cóż mi życie...

I otulając się chustką, poczęła niecierpliwie
biedz ku drzwiom nagłąc.

— Zemną, chodź zemną! chodź tam! ja muszę
tam być...

Chorażyc, nie wiedząc prawie co czyni, bo czasu
do rozmysłu nie miał, chwycił czapkę, ciągnęła go
gwałtownie, wołając zdyszana.

— Chodź! idźmy!

W ulicach było pusto, biegiem prawie pędziła
Zonia, nie rozpoznając drogi, padając co chwila, tak,
że ją Ewaryst przytrzymywać musiał i prowadzić...
Gdy się zbliżyli ku mieszkaniu, Zonia się zatrzymała
z trwogą patrząc na kamienicę,

Chorażyc postrzegł na pierwszy rzut oka, że wypadek nie musiał być tak strasznym jak się wydał Zoni, gdyż około kamienicy żadnego nadzwyczajnego znaku życia, ani zbiegowiska nie było. Stała czarna, milcząca, i drzwi tylko wechodowe na pół otwarte, któremi wybiegła Zonia, świadczyły, że po niej nikt nie wychodził później, ani spostrzegł, że stały otworem.

Milczenie to dziwném się zdało i jój nawet, uspokoiła się nieco, ciągnąc za sobą Ewarysta. Gdy weszli w podwórze, znaleźli je milczącym i pustém także, na piętrze tylko drzwi mieszkania Zoni otwarte były całkiem i świeciło w nich. Z trwogą posuwała się ona ku nim, sięgając okiem w głąb, tu, nie było nikogo, sprzęty tylko porozsuwane, nieład, krwawe szmaty porzucone, a w drugim pokoiku przy łóżku Zoni na podłodze, ogromna plama krwi zaschłej. Zobaczywszy ją, Zonia się cofnęła z krzykiem do pierwszego pokoju.

Ewaryst posadziwszy ją w krzesło, sam zbiegł co prędzej szukać sługi i jak się domyślał rannego pana Teofila.

Wiedział, że ten stał na dole i po głosach, które z wnętrza się słyszeć mu dały, doszedł łatwo mieszkania Zagajły.

Ruch w niém był widocznie tłumiony umyślnie, aby nie pobudzić sąsiadów. Ewaryst wsunął się śmiało. W dosyć obszernej jedynej izbie za parawanem słyhać było żwawą rozmowę i krzątanie. Służąca Zoni biegła z wodą i płatkami. Ewaryst ujrzał na łóżku leżącego rannego p. Teofila, któremu dwu z sąsiedztwa zwołanych studentów rany opatrywało. Za-

gajło leżał z ustami zaciśniętymi, z zamkniętymi oczyma, blady, pomazany krwią, ale z wyrazem męstwa i obojętności, dowodzącym wielkiej siły charakteru.

W tém jeden z opatrujących ranę, odwróciwszy się spostrzegł i poznał Ewarysta.

— A pan tu co robisz? zapytał.

— Łatwo się domyśleć, rzekł Chorążyc — mówcie, jest niebezpieczeństwo?

— Ba! odparł jeden z opatrujących, o włos a byłaby go położyła trupem. Szczęściem kula siły wielkiej nie miała, ośliznęła się po żebrach, ale będzie miał lizać się z czego?

Leżący otworzył oczy, skierował je na Ewarysta, poznał go i rzekł głosem suchym, prędkim.

— Powiedz-że jój pan, że nie ma nic—głupstwo! Ja winienem! Żart był niedorzeczny! Gotowa sobie co zrobić, powiedz jój, że rana nie znacząca — trochę krwi.

Zamknął szybko oczy, a Ewaryst co prędzej pobiegł na górę. Zonia jak ją porzucił, siedziała w krzesle, z głową z poręczy zwieszoną... Usłyszawszy zbliżającego się, porwała konwulsyjnym ruchem, oczyma chciała z twarzy wyczytać co przynosi.

— Uspokój się, rzekł Ewaryst, daję słowo, że jest zaledwie ranny, żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża... ma dwóch co go opatrują. Przytomności nie stracił wcale, krwi tylko ubiegło mu trochę.

Zdaje się, że w domu nikt nawet strzału nie słyszał.

Razem z Chorążycem służąca onieśmielona pokazała się w progu, jakby pani w pomoc przyjsć

chciała. Zobaczywszy ją, gniewna Zonia ruchem ręki wskazała jej, aby szła precz.

Chciała coś powiedzieć.

— Precz, zawołała dziewczyna, idź nie pokazuj mi się.

Wiadomość, którą Ewaryst jej przyniósł, zwolna zdawała się ją uspokajać. Siadła znowu w krzesło zadumana. Teraz dopiero gdy wielka trwoga odeszła, poczuła znużenie i blizką będąc mdłości, zażądała wody.

Chorążyc sam jeden musiał nie bardzo umiejętnie przyjść na ratunek. Niepodobna było ją tak opuścić samą, służąca bowiem, znając swą panią, natychmiast zabrawszy co miała wyniosła się tak, że w pół godziny jej już nie było.

Wyszędłszy z mdłości, Zonia zwolna odzyskała przytomność i sama zajęła się sobą. Ewaryst chciał ją namówić, aby się położyła, ofiarując pozostać na straży, choćby za drzwiami.

— Krew — krew! ja tam nie pójdę! odparło dziewczę.

Dniało już gdy Chorążyc szepnął jej, że mógłby odprowadzić do Heljodory. Myśl tę pochwyciła żywo, poprawiła ledwie ubranie i wyszli. W sieniach stanęła na chwilę u drzwi Teofila, niepewna, jakby do niego wniść chciała, lecz Ewaryst ująwszy ją za rękę silnie, gwałtem prawie uprowadził.

Przez całą drogę szła milcząca i jak nieprzytomna, ślaniając się... Dopiero u dworku Sałhanowej, który stał jeszcze zamknięty, wskazała okno, do którego zastukać było potrzeba, aby staruszkę obudzić.

Przybycie Zoni o tój godzinie, w tym stanie jakimś nieprzytomności, poruszyło wnet dom cały. Agafia poszła zbudzić panią Heljodorę, która nierychło, bledsza niż zwyczajnie, cała drżąca, okryta szlafrocikiem jakimś, bosa zjawiła się w salonie, a zobaczywszy Ewarysta cofnęła z krzykiem. Długiego czasu było potrzeba nim się przededrzwi można było zrozumieć.

Zonia zaledwie wszedłszy do saloniku powlokła się ku sofie, położyła na niej i jakby cudem, natychmiast usnęła...

Chorążyc więc miał czas, nieco już ogarniętj w sąsiednim gabinecie, pani Heljodorze opowiedzieć wszystko.

Wdowa słuchała zdumiona tak, że tylko pół słowami mu przerywała...

— A mówiłam, odezwała się na ostatku, ochłonawszy nieco, mówiłam zawsze, że się to okropnie skończy. Ta Zonia! no, proszę ja pana! z pistoletem! jak mamę kocham! Co to będzie! co to będzie. Uchowaj Boże śledztwa!

— Sądzę, dodał Ewaryst, że się to wszystko ci cho skończy. W domu nikt podobno nie słyszał i nie wie, a pan Teofil chwalić się nie będzie z rany, na którą zasłużył.

Heljodora wciąż ramionami ruszała.

— Jak mamę szczerze kocham, odezwała się po cichu oczy spuszczając,—ja myślałam, że oni z sobą byli już tak, że proszę pana, to nie do uwierzenia. Niech pan sobie przypomni co ja mu mówiłam... z nią nie ma co żartować! To dziewczyna szalona.

Co teraz z nią począć?

Dzień się robił gdy Chorażyc wyszedł od wdowy, która mu przyrzekła czuwać nad Zonią. Na palcach przesuwając się przez salonik zobaczył ją leżącą na sofie jak była padła na nią i głęboko uspioną. Zmarszczone brwi i bolesny wyraz ust, jakby marzenia przykre zdradzały... Heljodora stanęła nad nią z załamanemi rękami, a stara Agafia nie rozumiejąc nic jeszcze, czekała pożerana ciekawością, aby się dowiedzieć co się stało z tą „hołubką.“

Nazajutrz niewiele spoczawszy, Chorażyc powrócił około południa do pani Heljodory, u której dotąd pozamykane były okiennice. W bramie Sałhanowa powiedziała mu na ucho, że „hołubka“ spała jeszcze.

Wzdychała ciężko staruszka i potrzasała głową.

— Oj to, panoczku, czasy! to czasy! chyba nie długo czekać na antychrysta! Co to się dzieje! Jakie to teraz chłopcy, jakie dziewczęta. Prawda, bywało i dawniej różnie, od czego młodość! ale się choć Boga bali, panoczku, a pokutowali—a teraz!

Rzuciła ręką.

W sieniach wyszedłszy ku niemu pani Heljodora oznajmiła, że Zonia twardym snem kamiennym spała jeszcze. Jęczała tylko przez sen i wyrazy się jój wyrzywały niezrozumiałe. Wdowa nie chciała ją budzić, spodziewając się, że tak snem przejdzie wszystko.

Tego dnia więc Ewaryst się już nie dowiadywał, zapewniwszy, że Heljodora o chorąj mieć będzie staranie. Rano znalazł okiennice otwarte i starą Agafię z rękami w kieszeniach u wrót na swém stanowisku.

— A co, przychodzicie się o hołubkę dowiedzieć? nie prawda? odezwała się—no, ja już nic nie powiem, bo ja nie rozumiem nic, idźcie do pani, ona wam wytłómaczy, kto ich dziś zrozumie!

Z poplątanéj mowy Agafii, Ewaryst tylko domyślił się, że Zoni gorzej nie było.

Heljodora wyszła do niego z papiérosem.

— Jak się ma Zonia? zapytał.

— Cóż? zdrowa, rzekła obojętnie wdowa. Wypała się, siły jéj wróciły i co myślicie, zrobiła gdy wstała? Pierwsza rzecz, że ona powinna tam być u łóżka chorego, aby go pilnować!

Com się naprosiła, co naperswadowała! Z nią wszystko groch na ścianę, bo to upór jakiego drugiego nie masz. No i koniec końcem, powlokła się, jestem pewna, że teraz przy chorym siedzi!

Kwaśno dokończywszy wdowa, chciała dłużej rozpowiadać o sobie, jak się w nocy nastraszyła gdy ją obudzono, jakie miała uczucia, wrażenia, jak ją później okropnie głowa bolała i t. p., lecz Chorążyc podziękowawszy za przyjacielską pomoc, pośpieszył szukać Zoni.

W mieszkaniu jéj, w którém nowa służąca, polecona przez Agafię gospodarowała, nie było nikogo. Powiedziała Chorążycowi pomywając właśnie podłogę niemłoda kobiéta, że panna była na dole u studenta.

Ewaryst wchodzić tam teraz nie chciał, prosił, by ją wywołano; Zonia wyszła już zupełnie spokojna, bledsza tylko niż zwykle i z ustami spalonemi.

— Widzisz, odezwała się do Chorążycy, miejsce moje przy nim. Dzięki Bogu że żyje, bo jabym go nie przeżyła. Nie odstąpię od łóżka, póki zdrów nie będzie.

Jest tak poczciwy, że mnie nie obwinia i nie gniewa się na mnie. Kocham go więcej może niż dawniej.

Chorażyc nie wiedział co odpowiedzieć, tłumaczyć jej niestosowność tego postępowania było darem, bo zrozumieć nie mogła i nie chciała co nie było po jej myśli.

Krótko podziękowawszy Ewarystowi za pomoc i opiekę, podała mu rękę, spojrzała nań okiem jakimś obłąkanem, zeszklonem, i śpiesznie weszła nazad do chorego izdebki.

KONIEC TOMU I.



**INSTYTUT
BADAŃ INTERDYSCYPLINARNYCH PAN**

Biblioteka
ul. Nowa 72
00-240 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



